



KWARTALNIK GÓRŃSKI

złoty
14/2021-2022

Towarzystwo Miłośników Ziemi Górskiej



SPIS TREŚCI

Wspomnienia Stanisława Rohowskiego.

Rozmowę przeprowadziła Lilianna Biedulska, spisał M. Żłobiński.	s. III
Günter Rasper: <i>Ostatnie dni w Górze</i> przeł. z niem. Daniel Wojciechowski.	s. XI
Zofia Hanulak: <i>Ocalić od zapomnienia – Alfreda Onufrejczyk.</i>	s. XV
Mirosław Żłobiński: <i>Polska Partia Robotnicza.</i>	s. XVIII
Mirosław Żłobiński: <i>Skarga robotników do prezydenta Bieruta.</i>	s. XXIII
Elżbieta Makowska: <i>Historia MO, SB, ORMO i poligij w powiecie górowskim – cz. II (lata 50. i 60.).</i>	s. XXVII
Marek Piesiewicz: <i>Górowski tenis.</i>	
<i>Dziesięciolecie Górowskiego Towarzystwa Tenisowego.</i>	s. XXXI

W drodze do czytelnika

Agnieszka Polak:

* *Mówca*

* *W bibliotece*

b b b Pa a a

WSPOMNIENIA STANISŁAWA ROHOWSKIEGO

Zaprezentowany poniżej tekst to wspomnienia Stanisława Rohowskiego, rolnika ze Strumiennej, przed wojną zamieszkałego we Włoszakowicach. Zostały one nagrane przez panią Liliannę Biedulską podczas pisania pracy magisterskiej w 1991 r. Przedstawiamy je naszym Czytelnikom po spisaniu z taśmy magnetofonowej, stąd ich forma odtwarzająca ustną opowieść. Ponieważ autor tych wspomnień nie żyje, nie są one autoryzowane.

W 1995 r. na łamach ABC (nr 56) ukazały się wspomnienia St. Rohowskiego spisane przez Longinę Moskal. Ich tematyka jest bardzo zbliżona do prezentowanych poniżej.

Od 1940 r. pracowałem jako robotnik rolny u niemieckiego gospodarza w Strumiennej. Sołtys porozdzielał Polaków po gospodarstwach, chłopci niemieccy musieli nas zabrać. Dostawał on rozkazy z gminy ze Sławęcic. Co miesiąc jeździłem do rodzinnych Włoszakowic – latem rowerem, zimą pociągiem. Do wójta musiałem chodzić, by wypisał mi przepustkę, że się zgadza na mój wyjazd. Polski robotnik rolny miał prawo do przejazdu. Pociągi wówczas chodziły punktualnie. Jak na stacji kolejowej pokazałeś dokument, to dawali bilet. Byłeś Polak, Rusek, co ci się należało, toś dostawał. Jeśliby ci ktoś w sklepie nie sprzedał, tylko byś zgłosił, to już by bura była. Należała ci się para roboczych trzewików, para butów do roboty – na rok, dwie koszule, dwie pary spodni roboczych, jedno ubranie wyjściowe na dwa lata, skarpety... o to dbali.

Kiedy byłem tu rok czasu, akurat od rana gnój wywoziliśmy, przyjeżdża samochód. Staje. Myślałem, że gestapo przyjechało. Wyszli Niemcy ubrani po cywilnemu. Podchodzi jeden do nas (pracował tu jeszcze jeden mężczyzna z Rawicza, później zachorował i wrócił do siebie) i pyta się, czy jesteśmy Polakami. Odpowiadamy, że tak. Pyta się dalej, czy nam jeść dają, jak dają jeść (żona niemieckiego gospodarza wyszła, oni się znali), pokażcie, gdzie śpicie. Bali się chorób, tyfusu. Przestrzegali, czy jest czysta pościel, ile ręczników mamy, do twarzy, do rąk. Takie przepisy sanitarne były, że mucha nie siada. Ile mydła, proszku, mydła do golenia? Czy wszystko jest w porządku? Jeśli tak, to podpiszcie.

Niemieccy gospodarze płacili. Nie znaczy to, że nam, ale na odszkodowanie wojenne. Nie dość, że Polskę rozszabrowali, to jeszcze musieliśmy płacić na ich wojnę.

Chodziliśmy początkowo na zabawy. Nikt nam nic nie mówił. Tańczyliśmy z Niemkami i Polkami. A niemieckie dziewczyny były zazdrosne, bo młodych Niemców nie było. Tańczyłem z Rózią z Rawicza, podchodzi Niemka i mówi:

- Rózia, ja cię przepraszam, ale też chcę ze Stachem zatańczyć.

A Rózia po polsku odpowiedziała:

- Idź sobie po Niemca!

Niemki zazdrościły polskim dziewczynom chłopaków, bały się, że ich niemieckich chłopaków na wojnie wybija.

Jak zaczęło się walić na wschodzie i Amerykanie Francję zajęli, zaczęły się przygotowania do obrony. Wszędzie rowy kopano – Od Baryczy po samą Odrę. Spędzili

ludzi diabeł wie skąd. Wszyscy, co tu robili, zostali ściągnięci z całej Polski, ze wschodu i z Poznańskiego. Niemcy, Ukraińcy, Ruscy. Cała międzynarodówka tutaj była. Taka mieszanina ze wszystkich stron świata.

Byłem w tym czasie na okopach w Psarach, w tamtych lasach. Nadzorował nas major, oficer z I wojny światowej, nauczyciel z Kamienia Górowskiego. Byliśmy zorganizowani jak wojsko, znaczy się były apele, grupfirey – byli nimi starzy Niemcy. Z zimna nie można było wytrzymać. Mróz był wtenczas jak skurczybyk. Wówczas już nie mogliśmy kopać. Saperzy wysadzali ziemię i dopiero my mogliśmy kopać.

Jedna Niemka, co miała restaurację i małe gospodarstwo (5 ha czy coś koło tego), tę ziemię musieli wyrabiać pozostali Niemcy i Polacy, a której mąż był na wojnie, nieraz mówiła, żebym drzewa jej porzwał. Robiłem to i ta Niemka pyta się, czy bym do niej nie przyszedł. Robiliśmy do pierwszej godziny, potem mieliśmy wolne. Zaprosiła mnie potem na kolację. Fajnie było. Kielbasę na gorąco podała. Ona mówi, że wciąż gadają w radiu, ale ona nie rozumie, żebym nic nie mówił i ona nastawiła radio na Londyn. Na tę falę, na której nadawał emigracyjny rząd. Wtenczas mówili, że Ruski ofensywę na wschodzie rozpoczęli, Kraków zdobyty. Nawet byłem zaskoczony. Tutaj cisza, żadnego samolotu, nic, tak cicho. Jak to może być, pomyślałem. Co oni mówili, pyta się Niemka. Mówię do niej, że Ruscy rozpoczęli ofensywę, Kraków zabrali. Ona na to, że nam mówili, że mamy być przygotowani do ewakuacji.

Wróciłem do świetlicy w Psarach, gdzie spaliśmy (Niemcy byli w pałacu), i mówię o tym, co się dowiedziałem. Wśród Polaków był Szamański z Poznania, kierowca w majątku. Nie wiedzieliśmy, że był oficerem. Dużo wiedział, bo nie robił z nami. Jeździł z Niemcem po zaopatrzenie i po prowiant do Wąsosza. W stosunkach z nim byłem śmiały, bo on dużo z nikim nie gadał. On zawsze mówił: głowa do góry, czas jest bliski. Ja do niego mówię, a on, ja wiem o tym. W tym czasie, kiedy rozmawialiśmy, miał dużą walizkę i z jej podwójnych drzwi wyciąga sztandar pułkowy z Poznania.

- Co, podoba się wam? – pokazał.

Wszyscy zdrewniali i się patrzyli.

- Idźcie spać – mówi spokojnie – niedługo będzie tu gorąco.

Rano przyjechał starosta z Góry. Zawsze jeździł w czarnym mundurze SS z trupa czaszką na czapce. Tym razem przyjechał w cywilu. Zwołał wszystkich grupfirerów (Niemców), coś pogadał i pojechał. A tu od razu ten nasz major z Kamienia mówi (w mundurze jeszcze był, ale broni nie nosił, bez pasa chodził), że jest zastrzyżony rozkaz, że w razie jakby kto uciekał, to Volksstrum (faktycznie był pod Wierzawicami) będzie strzelał bez ostrzeżenia. Myśmy o tym wiedzieli.

Prowadzą nas na budowę. Szliśmy przez Daszów i Wierzawiczki Małe. Za Daszowem ciągnął się rów przeciwczołgowy, co my go kopali. Saperzy minowali drogi.

A jak tak idę z Krausem. Znałem go. Zawsze dla mnie był dobry. On mówi do mnie: wiesz co, jak przyjdzie co do czego, to uciekaj do lasu gdzieś do Strumiennej, nie wiem, może być w każdej chwili alarm i was wszystkich wywiozą gdzieś na Jelenią Górę, samochody przyjadą i was zabiorą, gdzieś was przerzucą.

W Naratowie był taki jeden od Częstochowy. Żonaty, pięcioro dzieci, jego żona była w majątku. Zaczął płakać, zdjęcia ze swoją rodziną pokazywał.

Mówię do niego:

- Jak będę uciekał, idziesz ze mną?

Chciałby, ale bał się.

- Nie ma co się bać – mówię do niego – tylko w nogi.

Weszliśmy do lasu, były gęste świerki, jeden przy drugim. To my w lewo od cmentarza na ścieżkę do Wierzawiczek. Znałem tę drogę. Na tych okopach byłem 6 miesięcy, to czasem się urywaliśmy.

Na moście drewnianym wychodzi jeden żołnierz z automatem, drugi coś tam grzebał pod mostem. Minowali albo co innego robili. Ten z mostu do nas krzyczy: halt. Mówi, żeśmy uciekli.

- Nie, idziemy za Wierzawiczkami kopać rowy.

Mieliśmy ze sobą łopaty, żebyśmy nie wyglądali podejrzanie.

A tu wychodzi ten spod mostu i do nas po polsku sam się odezwał:

- Pioruny, dokąd wy idzieta? – Był to jakiś Ślązak.

- Mamy kopać.

- Gadajcie prawdę! Uciekliście, to uciekajcie, bo zaraz przyjdą Ruski.

Kazał nas puścić.

Przyszliśmy do tych lasów za Wierzawicami, do tego lasu, skąd braliśmy faszynę. Narodu tam już było. Rzućmy teraz te łopaty, mówię. A stoją tam wszystkie młodsze Niemcy w żółtych ubraniach, S.A. Bierzymy faszynę na plecy i idziemy dalej. Potem rzuciliśmy tę faszynę i wskoczyliśmy w zagajnik. Idziemy wprost na Górę. Przyszliśmy na Kajęcín, tam, gdzie krzyż stoi. A tu w Górze z dziećmi i z wózkami uciekają. Niektóre z tych osób nawet znałem. Kobietę od ogrodnika, dwoje małych dzieci, mąż zabity na wojnie. Ona z dziećmi pchała wózek. Pytam się, gdzie idą. Na stację.

Tego bojącego z Naratowa trzeba odstawić. Mówię, teraz o drugiej pójdzie pociąg, wsiądziesz, w Naratowie wysiądziesz. Przechodzimy na stację, patrzę, a tu na starym dworcu, tak go nazywali, gdzie teraz jest tartak, stoją dwa pociągi sanitarne z czerwonymi krzyżami. Oni ewakuowali szpital. Podstawili te wagony dla rannych. Szpital był, gdzie teraz PDK. A ludzi jak pieron, żandarmeria polowa. Mówię do niego, dajemy dęba.

Przyjechał specjalny pociąg po te baby z Góry. Pociąg za pociągiem leciały. Pociągami ewakuowali dzieci i kobiety z dziećmi z miasta, ze wsi – nie. Na wsi ludzie musieli się ewakuować zwykłymi wozami, a zimno było jak cholera.

Wtenczas przyszedłem do mojego niemieckiego gospodarza w Strumiennej, a on powiedział, przyszedłeś nam pomóc pakować, my też musimy uciekać. A ja mówię, że uciekłem, bo się bałem.

Myślę, że nie będę uciekał do Włoszakowic pod prąd, muszę się tu gdzieś ulokować. Poszedłem do chłopaków z Włoszakowic, którzy też musieli jechać z dziećmi. Rozmawiałem z Polakami, z babami z Rawicza, że jak się ukryjemy tu gdzieś, to ryzyko, szlag jego wie co będzie.

Gospodarz do mnie mówi, że jakbym chciał, to mam z nimi jechać. W niedzielę wyjechały kobiety i dzieci, wozami wyjechały tu na Jastrzębie, tedy jechały ze wszystkich stron Brzeżan, całe kolumny szły; a my w poniedziałek o dziesiątej. Jak stoją tak musieli uciekać i brać jedzenia na trzy dni, zostali obcokrajowcy.

W poniedziałek przyszedł drugi rozkaz – wszystkie kobiety muszą wyjechać, a stare chłopy koło siedemdziesiątki, w tym wieku jak ja teraz jestem, muszą się zostać. Oni

tworzyli Volksturm, ich wszystkich zabrali do Góry. Długo tam nie byli, bo zaraz cofli się z powrotem. Stare oficery z tamtej wojny światowej stanowili kadre Volksturmu.

Jak przyjechaliśmy do Jastrzębiej, na polnej drodze staliśmy z dwie godziny, zanim włączyliśmy się do ruchu. A wiatr tak wiał ze wschodu, a mroził, zębami dzwonił. Było tak, że trudno było uciec. A tu wojsko jedno jechało na wschód, a drugie ze wschodu. Uciekali bez broni, bez niczego. Nie puszczali cywilów, wreszcie się uspokoiło. Puścili nas i pojechaliśmy dalej. A ślisko było po tych samochodach, wyslizgane. Konie na pysk padały, trzeba je było trzymać. Najgorzej było za Wronińcem, wozy szły do rowów. We Wronińcu staliśmy z dwie godziny. A tu jedzie wojsko. Czołgi prują na wschód. Ustawili karabiny maszynowe na szosie. Kazali cywilom usunąć się z szosy. Jada kolumny samochodowe, bez broni. Żołnierze śpiewali, że już nie na wojnę idziemy, ale do domu, do rodziny. Dezerterzy tacy byli. Kierują ich na podwórze, tam ich będą formować. Jak wyskoczyli z tych samochodów, zaczęli krzyczeć, żeby sami szli na front, bo oni jada do domu. Porozpychali się i pojechali dalej.

Do Niechlowa dojechaliśmy o dwunastej w nocy i zatrzymaliśmy się pod knajpą. Dalej nie możemy jechać. Stoimy, zimno, baby płaczą. Pełno wojska w knajpie. Kawą pachnie. Podchodzę. Stoi tam oficer, major. Do niego mówię:

- Panie majorze, tu są kobiety stare, zmarzły, od godziny dziesiątej jedziemy, może trochę kawy prosić.

Kazał iść do środka. Poszedłem. Patrzę tam kobieta.

- Pan Polak?

- Tak.

- Ja też.

- Co ty tu robisz między Niemcami?

Ona była ze wschodu, znaczy się od Przemyśla. Zabrali ją do kantyny oficerskiej i tak ja wlekli ze sobą.

- Gdzie pani z nimi pójdzie?

- Uciekłabym.

- Teraz okazja, zamieszanie.

- Czy pan jest miejscowy?

- Nie, ja też nie jestem z tutejszej wsi.

- No to co na ulicę pójdę. Oni mnie zaraz złapią.

Dała kawę, torbę cukru w kostkach.

- Schowaj gdzieś w kieszeni.

- Zaryzykuj – mówię.

- Zobaczę, może spotkam miejscowego, żebym miała się gdzie schować, ale tak na ulicę nie pójdę, trudno.

Baby się ucieszyły, jak się ciepłej kawy napiły. Od razu przyszedł rozkaz jechać dalej. Konie z miejsca ruszyć się mogły. Wozy na żelaznych kołach przymarzły.

Mówię do tego mojego niemieckiego gospodarza, że nie pojedę dalej, mam dość tego wszystkiego. Stary na to, żebym robił co chcę.

Miał bryczkę z tyłu wozu zaczepioną. Stary był zły, że wozu nie mógł wyciągnąć. Wziął bryczkę, a wóz zostawił.

Moja przyszła żona, córka tego niemieckiego gospodarza, mówi, że jak nie pójdę, to ona też nie pójdzie.

Powróciłem do Wronińca. Nie szosa, nie było to możliwe, tylko polna droga. Po drodze widziałem jak jechał jeden pociąg w stronę Góry z karabinami maszynowymi na dachach. Latały niemieckie samoloty, było słychać, że bomby biją, potem ucichło.

Poszedłem do człowieka, co krowy doił, pogadałem i idę do domu. Widziałem człowieka na biało ubranego, w specjalny biały płaszcz od śniegu. Nie wiedziałem, że to Ruski. Idę dalej. Jadą niemieckie czołgi z automatami na wierzchu. Jedzie jeden, drugi, trzeci, czwarty... wszystkie obok mnie. Pytają się, co ja za jeden. Co ja będę kłamał, Polak jestem. Krowy się zostały, rycza, ryk jak cholera. Czego się szwendam? Coś pogadali, nie mam się szwendać po ulicy. Gdzie są Ruscy? Czy ja widział Russów? Nie wiem. Poszedłem, myślę, co będzie dalej.

W nocy się przebudziłem. Gdzieś z Leszna przez Sławęcice polną drogą końmi Ruskie jechali. Z cztery godziny jechali. Później, jak oni przejechali, na drugi dzień cicho, nie ma nikogo. Jeden dzień, drugi...

Wszyscy swobodnie chodziliśmy. Myśleliśmy, że front już przeszedł. Odgłosy walki było słychać nad Odrą, w kierunku na Głogów. Biło tam, samoloty bombardowały. Tam było słychać, a tu cicho.

Po tygodniu, była godzina czwarta, strzelanina taka wybuchła jak diabli i pali się. Rano wychodzę i patrzę się, czy Ruscy się cofnęli w nocy. Stoję za bramą i patrzę. Z lasku serię z karabinu maszynowego pociągnęli, prosto na mnie. Wróciłem się na podwórze i do chałupy. Jeszcze mnie zabijają, myślę. Niemcy uciekli, a to byli własowcy, Ruskie. Później wyszedłem jeszcze, taki dumny, do stodoły zaszedłem i przez wietrznik patrzyłem, co jest. Krzycza, kuda, job twoju mać, bolszewik? Co to za jedni. Wszedłem do domu, a tu przez podwórze idzie dwu własowców. Są w niemieckich mundurach i po rusku gadają. Co to za jedni? Czy to Niemcy się tak nauczyli gadać po rusku? Czy co? Przeszli przez podwórko i poszli na Naratów.

Ruscy przyjechali 2 lutego. Wtenczas przyjechała obsada ruska. Zostawiali się po wszystkich wsiach. W tych dwu pokojach u mnie zostawili rannych. Leżeli jak śledzie. Ranni byli po większych gospodarstwach, wszędzie.

Wtenczas przyszedł rozkaz, że wszyscy musimy iść na komendę wojenną do Góry meldować. Komenda była koło stawku na Kajęcinie. Budynek ten się spalił, długo nie odbudowywany, teraz odbudowany. Tam poszliśmy, wypytywali się o wszystko. Spisali nas wszystkich dokładnie, kto skąd był, czy w wojsku polskim przed wojną służył, gdzie, w którym miejscu, dokładnie spisywali. Cały ten komendant mówi, no charaszo, możecie iść do domu. Ja mówię, że jak pan nas przesłuchał, niech nam pan da jakiś świstek. Mamy niemieckie dokumenty, a ruscy żołnierze po niemiecku nie umieją czytać. Niczego nie trzeba, odpowiada. Co z nim gadać.

Górę Ruscy spalili, ona od frontu nie była zniszczona, oni sami spalili. Ratusz był, stał, chcieli odbudować... Dużo Polaków tu było na robotach. Jak oni wyszli gasić, oni już wiedzieli, że radia zachodnie będą, że Polska oprze się na Odrze, ale nie mówili, że tereny wschodnie do Ruskich przejdą, o tym nie mówili.

Później myślę, ciekawe, cisza, front przeszedł, a na Leszno, na Włoszakowice artyleria biła, dzień i noc bez przerwy. Myślałem, Włoszakowice, jeziora, tam trudno

było. Niemcy mieli dobry układ. Może tam nasza wieś zbita, spalona, nie wiadomo. Ja mówię do mojej baby, pójdę, zobaczę, co tam jest. Pojechałem rowerem. Wszystko w porządku, matka zadowolona, do niej powiedziałem, że pojedę z powrotem, jak tylko przyjechałem, my się tam zostajemy, bo to do Polski ma należeć.

Niemcy nie byli legitymowani, tylko wywiezieni na roboty, szukali wroga, chyba. Żona specjalnie się nie ukrywała. Ruscy żołnierze przychodzili, widzieli. Żołnierze frontowe były fajne, nie można było nic mówić, obsada później szatańska była. Front jak przechodził, to frontowi jak weszli tylko poruszać, jedną noc nocowali. Taki jeden młody był, opowiadał, że jego rodzinę Stalin wymordował. Był w domu dziecka, potem babcia go wzięła do siebie. Jeszcze był kalendarz niemiecki i Stalin był namalowany, to on ołówkiem pokreślił, zły był. Papierosy niemieckie mieli, gdzieś zdobyli, papierosami częstowali. Jak później przyszła obsada z czerwonymi opaskami, to było diabelstwo, można powiedzieć, gorsze niż gestapo. Jak gestapowcowi coś powiedział, to wierzył, a ten piorun nic nie wierzył, sam kłamał i nikomu nie wierzył.

Szpital potem zrobili. Chodziły tu dwa źrebaki, takie grube, fajne, może roczne. Poszedłem po nie, złapałem jednego, prowadzę, drugi przyszedł za nim do stajni. Dałem im jeść, myślę, będę miał kiedyś konie.

Siódma rano, jasno. Wychodzę, pójdę im dać jeść. Ruskie dziewczyny tutaj leżały, one u góry spaly. Tutaj na schodach siedzi z automatem i pyta się, gdzie idę. Mówię, koniom dać, no charaszo, ja siedziałem z nim, ale on musiał być pijany, ale jego nie zmiarkował, to idź, ja poszedł. Koniom dał, źrebakom dał, trochę się z nimi pobawił, poczyścił. A on piorun do mnie, że mam stać, bo będzie strzelał. Myślałem, że on żartuje. Ja krok daję, a on bryz, daszek od czapki odleciał, ja z powrotem do stajni.

Jak ten strzał padł, to się jakiś ruch zrobił, oficerowie u góry leżeli, zaraz wypadli. Do kogoś strzelał? A on mówi, że Giermańca ubił. Gdzie? Idą, oficerowie mnie znali, ja z nimi rozmawiałem, szpital był na dole, lekarz nawet był, Ruski. Oni przyszedli do stajni. Gdzie Giermaniec? Nie ma. Pokazuję, że ustrzelił mi daszek. A to sukinsyn, zaczęli po rusku jobkać, po mordzie wybili, ktoś go kopnął do piwnicy, jak chrupnął go tam na dół, ja myślał, że on się zabił. Ty byś ubił swojego człowieka, ten doktor gadał.

Później do mnie mówi, zawołał mnie do góry, tam, gdzie on był, do pokoju. Rozłożył mapę, pyta się skąd jestem, ja mu mówię. A on patrzy. Jak ja będę, to ci się nic nie stanie, wiesz Polak. A jak ja pójdę, mogą cię ubić.

Nie mogę jechać na Siciny, bo tam most wysadzony na kanale, nie przejdę, tam jest front, bo we Wschowie są Ruscy, ale dalej są Niemcy, Giermańce, tu weszli, a tam nie. Most na Lesznie jest cały. Jak już będzie spokój, po wojnie przyjdiesz tu z powrotem.

Ja jeszcze pułkownika pytał, czy możemy wziąć woły, byki, a on, bierzcie. Wzięliśmy. Przyszedli Ruskie, wszystko to bydło wypędzają, jeszcze zima, luzem, mówią, że popędzą do Rosji.

Myślę sobie, że trzeba uciekać.

Stała słomiana buda, stróż tu mieszkał, Niemiec. Słyszę, że dziecko płacze; czy to jakie Niemcy by wrócili się, czy co? Idę do środka, a tam chłopcy: dwu Ruskich, dwu Italianów, czyli Włochów, trzech Polaków od Kalisza. W szpitalu tutaj byli w Górze. Dziecko z tego szpitala przywieźli ze sobą. Obsmarowane, zesikane, takie mokre. Skąd to dziecko macie? Ona wciąż wołał: pić, pić. Oni zimnej wody dawali, barany durne. A

ona Stasia, nazwiska swego nie znała. Przyszedł do domu i mówię do mojej baby, że tam chlopy małe dziecko mają, mokre, blade. Chodźmy, zobaczymy, zabierzemy do siebie. My wzięli. Ona mokra była, wykapali. Pytam: skąd ty jesteś? A ona mówi po polsku – z Wińska, po niemiecku też umiała.

Przyjechali my do Włoszakowic. Lekarza nie ma, pojechałem do Leszna do ruskiego lekarza. Nie chcieli mnie puścić, nachalnie prosił, że trzeba, poszedłem tam i mówię lekarzowi o dziecku, że ma jakieś bóleści, wciąż płacze. Tabletki przeciwbólowe dał, mówi, że mam po pół dawać. Dziecko naturalnie umarło. Akt zgonu z urzędu stanu cywilnego do dziś dnia mam. Nazwisko nieznane, tylko Stasia imię, z Góry ze szpitala.

W maju ja wrócił z powrotem, 2 maja. Ja przyjeżdżał, zobaczyć co tutaj jest i jechałem z powrotem. Tu nikogo nie było. Świnie samochodami Ruskie zabierali, bydło, meble lepsze, wszystko ładowali na samochody i wieźli na wschód, do siebie.

Jak przyjechałem 2 maja, zobaczyłem, że tu nikogo nie ma, to pojechałem do Góry. W Górze było dużo Polaków, ja ich znalazłem, wszystkich, my się znali jak jeden, skąd pochodzili, my się znali i trzymali razem. Jakies nowiny to jeden drugiemu ... taka poczta pantoflowa, często wiedzieli co się dzieje prędzej jak Niemcy. Poszedłem do tej Góry, rozglądam się, patrzę, starosta Herbst przyjechał. Samochodem od Rawicza przyjechali. Niemców trochę się zostało, trochę się wróciło, kobiet z dziećmi. Milicja też z nimi przyjechała.

Wojska było jak wszów na kozuchu. Wszędzie było, w każdej jednej chałupie, jak się front posunął, to starsze dalej „likwidowali”, zabierali, wywozili stąd. Dużo do cukrowni wozili, dywany były, maszyny do szycia. Był tam magazyn, jak mówili. Samochody przyjeżdżały i zabierały.

Jak starosta był, przyjechał pierwszy transport z Wileńszczyzny. To byli pierwsi, ja z nimi rozmawiałem, z Giluniem. Z opaską chodził. Starą Górę zasiedlili. Z Poznańskiego nawet, ci co byli, poprzychodzili z powrotem.

Byłem jeszcze raz we Włoszakowicach, za żarciem, bo nic tutaj nie było. Goło. Ruscy wszyscy zabrali. Ja na rower, 3-4 godziny i byłem z powrotem. W piekarni nabrałem chleba, bo tu w Górze nie było i przyjechałem. Sznycel pierwszą piekarnię utworzył na rynku, gdzie lody sprzedawali.

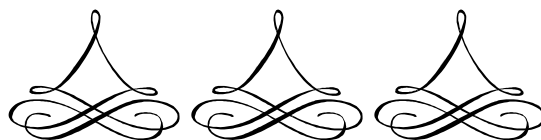
Gdy przyjechał Herbst, przyszło takie zarządzenie, że Ruscy Niemców wyganiałi. Gdy ja przyszedł do Góry, pełno było na rynku kobiet z dziećmi. Płacz, ruskie wojsko, cywile jakieś. Nie mogłem się na to patrzeć, bo ja to widziałem w 39. Jaki to smak, jak wojna przychodziła. Trzeba mieć serce kamienne. Na stację zapędzili w czerwcu na początku, trochę jeszcze zostało. Ktoś płacze i mówi, jak to widzę, kobiet z dziećmi, po co ich wyganiają.

Od świtu do ciemnej nocy szli po bokach w mundurach z biało-czerwonymi opaskami nasza milicja eskortowała, od Milicza, od Wołowa. Tych z Góry na stację wypędzili, zostali pociągami wywiezieni. Herbst się stawał, mówił, żeby im krzywdy nie robić, bo to są kobiety i dzieci. Niemców wyganiałi do Odry, a tam puścili, aby za Odrę.

Herbat mówił: tu gdzie przybyliście, tu będzie nasza ojczyzna, bierzcie się do pracy. Tu nic nie było. Jedni ze wschodu coś przywieźli, drudzy – nic. Ludzie się wzięli do roboty, jak kto mógł.

Ruscy mieli cukrownię i chcieli ją rozebrać. Magazyny pełne cukru. Oni wywozili. Z Leszna wojsko polskie przyjechało i obstąpili, karabiny maszynowe poustawiali i nie dali rozebrać; w Żmigrodzie rozebrali. Wyszabrowali mi wszystko, nie było absolutnie nic, młocarnię zabrali, wiązałkę schował, gdyż widział, że wywozają. Po wojnie to była pierwsza wiązałka, w Strumiennej jedna jedyna.

PSL powstało w 45, jak Mikołajczyk przyjechał. Po tych wsiach wszystko w PSL'u było. 1 maja 1946 r. mało co świętowali, a 3 maja jak chłopci ze wsi przemaszerowali przez rynek, jakie były huraganowe oklaski. Najpierw szli z PPR'u. Taka mała grupka była. Herbst z nimi nie szedł. Potem dyrektor cukrowni Waligóra, warszawiak, fajny chłop. Ja myślałem, że Góra się rozleci, taki był okrzyk, wtenczas krzyczeli: precz z komuną. Darli się jak piorun a ten jeden się odezwał: my jesteśmy Polska Partia Robotnicza a nie komuna.



OSTATNIE DNI W GÓRZE

Prezentujemy fragment książki Fritza Heinego „Heimatbuch des Kreises Guhrau / Schlesien” (1973, s. 228-232), poświęconej historii Góry i powiatu górowskiego. W ciąg wyvodu autora publikacji wplecione zostały wypowiedzi innych osób, na przykład prezentowane poniżej wspomnienie Güntera Raspera.

Góra, niedziela 21 stycznia 1945 roku. Niedziela, jak każda inna zimowa wojenna niedziela w Górze.

Na dworze było dżdżysto i zimno, na ulicach tylko śnieg i błoto, a w domu w ciepłym pokoju człowiek czuł się najlepiej. Mimo złych wiadomości z frontu o bombardowaniu miast i okręgów przemysłowych, w naszym mieście rodzinnym było stosunkowo bezpiecznie. Któż by się ośmielił pomyśleć, że przez ten spokojny kraj też mogłaby przetoczyć się pożoga wojenna?

Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok obchodzono w tradycyjny sposób. Oczywiście, że ojców i braci nie było w domu, a prezenty nie były aż tak bardzo bogate, po prostu była wojna, a ostatecznie nie były to pierwsze Święta Bożego Narodzenia podczas tej wojny. Tylko front się bardziej do nas zbliżył, a tak poza tym to nic szczególnego nie wisiało w powietrzu.

Niektórzy urlopowicze mogli też i w tym roku zostać w domu ze swoimi najbliższymi, a w domu sąsiadów to nawet było weselej niż kiedykolwiek dotychczas. Horst był mianowicie na urlopie i się zaręczył.

Kto tej niedzieli stwierdziłby, że 23 stycznia, a więc pojutrze, pierwszy sowiecki czołg wjedzie kamienistą drogą do naszego miasteczka, tego nie uznano by z pewnością za normalnego, być może nawet by go zamknięto.

Ale dzisiaj przysłała pora na to, na co jeszcze 21 stycznia 1945 roku pory nie było. Zaspane leżało nasze miasteczko rodzinne na śląskiej ziemi. Ale jeszcze tego samego dnia, popołudniu około godziny 16., miało się rozbudzić. Mianowicie około tej godziny głośnik z balkonu ratuszowego oznajmił, że jutro, tj. w poniedziałek od godzinie 10. miasto ma być opróżnione. Ludność ma się zebrać na placu targowym i przygotować do „odtransportowania autobusami i ciężarówkami” do Głogowa. Ogłoszenie było krótkie i zwięzłe i mało kto był świadomy jego doniosłości. Tak, najpierw nie chciano w to wierzyć, a nasz sąsiad to nawet powiedział: „Ja tu zostaje. Ja mam urlop!” A że będzie to dla wielu pożegnanie z miasteczkiem rodzinnym na zawsze, mało kto wiedział. Jasne, niektóre „mieszczuchy”, które były na wysokich stanowiskach, wiedziały więcej, ale z pewnością nie to, że od dzisiaj nie będzie już powrotu. Pewna matka na zapytanie, czy jej krewni, którzy udali się do Oslowic, wrócą jeszcze do domu, otrzymała (i my też całkiem poufnie) odpowiedź w niedzielę przedpołudniem od pana Geisla: „Oni już tu nie wrócą. Wszyscy musicie się stąd wynieść. Być może spotkacie się z nimi w Lubowie.”

Nawet jeżeli ta poufna wiadomość wydawała się niewiarygodna (sąsiedzi uznali, że to plotka), zamieszki po południu potwierdziły to, czego się nie spodziewano. Być może to tylko przejściowe środki zapobiegawcze? Co zapakować, co zabrać ze sobą? Być może

niedługo znowu wrócimy? To „być może” już dawno nie było tylko zwykłym znakiem zapytania. Wówczas była to jedna, nawet jeżeli złudna, ale jakaś kotwica nadziei.

Poniedziałkowy poranek 22.02.1945 roku nie był już takim porankiem, jak wszystkie inne. Tutaj pośpiech tam spokój, tutaj strach tam zaufanie, troska o nadzieję, ufność. Chodzono ze zmiennymi nastrojami; w końcu było się przyzwyczajonym, aby słuchać i dać się prowadzić.

O godzinie 10. na placu targowym tylko jedna jedyna ciężarówka. Na nią zostali załadowani starzy i chorzy i przetransportowani do Głogowa. Pozostałym nakazano udać się na dworzec kolejowy. Tam stały już otwarte, gotowe wagony towarowe ze słomą na twardej podłodze. Każdy szukał sobie najdogodniejszego miejsca. Każdy wziął ze sobą i ubrał tyle ile mógł, aby tylko uchronić się przed zimnem. Jakby ktokolwiek wiedział, że będzie to podróż bez powrotu, zapakowałby więcej. Jak uciekinierzy? Jak wysiedleńcy? Później, dużo później, tam gdzie wysiadaliśmy, który z tych, co nas przyjmował, mógł wiedzieć, ileś my biedacy zostawili, a ile straciliśmy.

Pociąg towarowy na stacji w Górze stał jeszcze ze swoim żalonym bagażem. Ulice zaczynały już pokrywać się lodem. Spóźnialscy, nic tylko spóźnialscy. Niektórzy po prostu zapomnieli coś z domu i szli po to, by wkrótce wrócić. Wśród nich była też żona pewnego gospodarza, która wróciła się do domu, aby nakarmić bydło. W butach mokrych od błota ze śniegiem wróciła za jakiś czas z powrotem. A pociąg wciąż jeszcze stał.

W jednym wagonie niezapomniany obraz: nasze „szare siostry”, które niestrudzenie pomagały chętnie wielu chorym, którzy byli rozkapryszeni, przestraszeni i zebrani wokół pastora Schmidta, który próbował ich pocieszyć i dodać im trochę otuchy. Bóg był tutaj dla wszystkich najbliższy i On jedyny nie robił różnicy między katolikami a protestantami. Tak to mijała godzina za godziną i mogła być już prawie 15., gdy na dworzec wjechał ostatni pociąg osobowy. Urlopowicze, mężczyźni i kobiety wysiadali z niego i chcieli iść do swoich rodzin. Lecz mogli tylko i wyłącznie przesiąść się do naszego pociągu towarowego i jechać z powrotem w nieznaną. W domach nie było już żywej duszy. Los toczy się swoim własnym torem.

Pociąg osobowy zabrał starców i chorych, a nasz pociąg towarowy wreszcie powoli ruszał z dworca. Ale dokąd? Na zewnątrz został tylko dr Woitschek, który zza zamkniętego szlabanu machał do odjeżdżającego pociągu. Czy jeszcze kiedyś się z nim zobaczymy? Miasto zostało opróżnione z ludności cywilnej. Niewielu nie chciało nawet słuchać tego rozkazu. Nie widziano ich, zostali w swoich mieszkaniach. Kto to mógł być? Co oni przeżyli, zobaczyli?

Wszyscy mężczyźni, którzy byli w stanie się bronić, zostali przydzieleni do Volkssturm.

Pozostały w Górze Volkssturm podlegał dowódcy kompanii, leśniczemu rewirowemu, Klatte. Główna kwatera tej kompanii mieściła się w ratuszu. Oprócz Volkssturm w Górze stacjonowała też jedna niewielka jednostka Wehrmachtu. Jej zadaniem było pilnowanie magazynu części zamiennych i zakładu remontowego Luftwaffe na Bahnhofsstraße, a w razie konieczności to i strategicznie istotne dokumenty mieli wysadzić w powietrze. W piwnicy ratuszowej, w ratuszu i w „Drei

Kronen” był wielki ruch, wiecznie ktoś przychodził i odchodził. W międzyczasie przeciekło też, że w przeciągu kilku godzin Ruski może wejść do Góry.

Góra stała się miastem frontowym. Taki też nastrój panował wśród ludzi z Volkssturmu. Mistrz rzeźnicki Krüger, teraz „kolega Krüger”, zawsze w dobrym nastroju, udzielił swoim kolegom obozującym w „Drei Kronen” dobrej rady: „Jedźcie ludziska ile możecie, w rzeźni wiszą jeszcze trzy świniaki”!

Jeszcze 22 stycznia 1945 roku kompania Volkssturmu zajęła pozycje w Kajęcinnie, w pobliżu żydowskiego cmentarza. W między czasie udzielano też lekcji obchodzenia się z panzerfaustem. Rosjan na razie widać nie było. Ulica wiejska była zaludniona przez cofającą się ludność cywilną. Jeszcze tego samego wieczoru Volkssturm miał zostać załadowany na dworcu kolejowym, aby w Głogowie zająć nowe kwatery. Gdy cała jednostka Volkssturmu stała już na dworcu, rozkaz ten został odwołany. Więc marsz z powrotem do miasta do komitetu powiatowego w domu szklarza. Potem nocleg w sali ratuszowej. Cała jednostka musiała zostać razem ze względu na powagę sytuacji. W końcu byliśmy żołnierzami w Volkssturmie: właściciel zakładu ogrodniczego Georg Drabsch, mistrz rzeźnicki Jensch, dr Hoffmann, radca stanu Engel, inspektor sadownictwa i ogrodnictwa Rasper i wielu innych mężczyzn.

We wtorek 23 stycznia 1945 roku kompania Volkssturmu ustawia się w szeregu przed ratuszem. Rozkaz do wymarszu w kierunku wieży ciśniń na Oberwaldzie. Góra miała zostać oddana Rosjanom bez walki.

Gdy kompania dotarła do wieży ciśniń i znajdowała się na ścieżce w kierunku Oberwaldu, mężczyźni usłyszeli detonacje dobiegające z gazowni i magazynów części zamiennych znajdujących się w mieście. To oddział Wehrmachtu wykonał swoje zadanie.

Dalej Volkssturm, czyli ostatni mężczyźni z Góry, maszerował w tempie z Oberwaldu w kierunku na Schutzhütte w towarzystwie psów, które nie chciały opuścić swoich właścicieli. Szczególnie leśniczy Halpig i mistrz dekarSKI Gerntke vom Steinweg tęsknili później za swoimi wiernymi zwierzętami, gdy zniknęli za lasem i nie mogli już wrócić.

Specjalna jednostka z oddziału szturmowego wróciła jeszcze przez Oberwald do miasta. Później w Osetnie Wielkim dołączyli oni z powrotem do Volkssturmu. 23 stycznia 1945 roku jednostka ta zobaczyła pierwszy sowiecki czołg w Górze. Czołg ten skręcał z kamienistej drogi koło Turka w Breslauer Straße. Tam się zatrzymał i część załogi wysiadła. Jeden strzał w tamtym kierunku nakłonił Sowietów do schronienia się w rynsztoku. A kompania Volkssturmu w tym samym czasie dalej maszerowała. Minęli Schutzhütte od prawej strony Oberwaldu, później minęli Vorwerk i Ryczeń cały czas przez pola maszerowali do Osetna Wielkiego. Tam zorganizowano kwaterę na noc w zajezdzie koło kościoła.

24 stycznia 1945 roku wymarsz z Osetna Wielkiego do Ciechanowa nad Odrą. W Ciechanowie ulice zostały zajęte i zabezpieczone przed ewentualnym wrogiem. Tutaj też jednostka Wehrmachtu pod dowództwem porucznika von Seydlitz, która początkowo miała zostać w Górze, spotkała naszych ludzi z Volkssturmu.

Nocą około godziny 24. ostatni ludzie zostali przewiezieni promem z Ciechanowa na drugą stronę Odry.

Krótko po tym o godzinie 0:30 prom wysadzono w powietrze. Ostatnie połączenie ze stronami rodzinnymi zostało przerwane.

Günter Rasper
przeł. z niem. Daniel Wojciechowski



Rys. Katarzyna Dziemiesz

OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA

Czas mija i ucieka, coraz mniej wiemy, jako społeczność, o twórcach powojennej rzeczywistości górowskiej. Nie można dopuścić do sytuacji, by rodzące się pokolenia nie znały historii i ludzi tworzących po 1945 roku zręby naszej Górowskiej Małej Ojczyzny. Kształtowali ją wszyscy, którzy tutaj przybyli, organizując administrację, na nowo tworząc instytucje użyteczności powszechnej, w tym opiekę zdrowotną, szkolnictwo, bezpieczeństwo, oraz uruchamiając doprowadzenie wody, prądu itp., zapewniając aprowizację, jednym słowem wszystko, co potrzebne do życia; kształtowali ją też zwykli ludzie, którzy tu po prostu żyli.

W kolejnych numerach naszego pisma postaramy się przybliżyć sylwetki ludzi, których wkład w budowę naszej najnowszej historii jest niezaprzeczalny. Będą to zarówno rozmowy z pionierami jak i wspomnienia o tych, co odeszli.

ALFREDA ONUFREJCZYK

Do Góry przybyła jak większość przesiedleńców w maju 1945 roku. Urodziła się na Ziemi Miechowskiej, ale dorastała w Stołpcach, dokąd zawędrowali jej rodzice w poszukiwaniu pracy i chleba, bo w Małopolsce była bieda i bezrobocie, a tam miało być wszystko, ale nie było. Ojciec nie dostał stałej pracy na kolei, na którą liczył w związku z tym, że została rozbudowana stacja przeladunkowa – słynne szerokie tory – pracował tylko dorywczo, w domu matka wiązała przysłowiowy koniec z końcem. Dzieci wiedziały, że trzeba się uczyć i pracować. Pani Alfreda już jako uczennica angażowała się w różne formy pracy z młodszymi dziećmi i temu zawdzięcza to, że zwróciła na siebie uwagę szlachetnych nauczycielek realizujących z całym oddaniem pozytywistyczne hasło „pracy u podstaw” (mimo, że pozytywistyczne, to jednak żywe w okresie międzywojennym). Jedną z nich zainteresowała się nawet tym, że podanie o przyjęcie do szkoły średniej nie dotarło i załatwiła zainteresowanej dodatkowy wrześniowy termin egzaminu wstępnego. Bez przeszkód i z powodzeniem Pani Alfreda ukończyła Państwowe Seminarium dla Wychowawczyń Przedszkoli w Wilnie.

Wojna to dla niej na tyle przykry okres, że nie chce o nim mówić, chociaż był w nim i moment szczęścia rodzinnego i wiele nieszczęść, była również partyzantka i praca z ludźmi i dla ludzi. Za tą działalność mogłaby dziś jako kombatanant mieć satysfakcję moralną i materialną, ale nigdy nie chciała i nie chce tego okresu swego życia upubliczniać. Jej droga do Polski była niezwykle długa, trwała aż siedem miesięcy, a złożyły się na to i odległość z północno-wschodniego cypla Polski, i liczne przymusowe postoje, wszak trwała jeszcze wojna. Do rodziny w okolicach Miechowa dotarła 9 maja 1945 roku.

We wrześniu 1945 roku rozpoczęła pracę w Szkole Podstawowej w Naratowie jako najmłodsza z całego grona nauczycielka. Odległość z Góry do miejsca pracy trzeba było pokonać pieszo. Ile wtedy się szło do Naratowa nie potrafi powiedzieć, nie miała, jak zresztą większość ludzi, zegarka. Kierująca szkołą Pani Majewska przyjęła ją serdecznie.

Otuchy dodawali dawni znajomi i mieszkańcy wsi, którzy nauczycieli karmili, zapewniali mieszkanie, troszczyli się o ich bezpieczeństwo. Tak było do czasu, kiedy to władze oświatowe zarządziły, że zabraniają nauczycielom korzystać z tych darów, pod groźbą kar, chociaż w dalszym ciągu nie wypłacały wynagrodzeń. Pozostawieni samym sobie musieli sobie jakoś radzić, często łamiąc owe zakazy.

W 1948 roku podjęła pracę w Szkole Ogólnokształcącej Stopnia Podstawowego i Licealnego w Górze, taką bowiem nazwę nosiło wtedy dzisiejsze liceum, jako nauczycielka wychowania fizycznego, przysposobienia wojskowego, śpiewu i prac ręcznych. Prowadziła też chór i zespoły artystyczne, których występy uświetniały niezliczone akademie, nie tylko w mieście, ale także w wielu miejscowościach naszego powiatu, do których dojeżdżało się ciężarówkami samochodami, niezależnie od pory roku. Takie były wtedy warunki. Na jednym z występów, wspomina Pani Alfreda, nie pozwolono młodzieży zatańczyć poloneza, ponieważ tzw. czynnik społeczny uznał, że to taniec burżuazyjny, a my żyjemy w Polsce Ludowej. Ona sama i szkoła miała w tych trudnych stalinowskich czasach nie lada problem. Wtedy cenzurowane były prawie wszystkie programy przygotowywane na różne uroczystości, a dodatkowe nieszczęście polegało na tym, że cenzor po „odpowiednich kursach partyjnych” najczęściej nie dorastał do roli, jaką miał spełniać. Jej pracę w liceum tak wspominała na ostatnim zjeździe absolwentów Stanisława Giecwicz: „Pragnę złożyć szczególny ukłon osobie, która przez lata nauki w szkole i na wszystkich zjazdach towarzyszy nam, a jest to ukochana pani profesor Alfreda Onufrejczyk, która wprowadzała nas w arkana sztuki teatralnej i wokalne, wędrowała z nami po polach i lasach, którą podziwialiśmy i podziwiamy. Dziś, mimo choroby, chciała być z nami, lecz niestety nie było to możliwe”.

W roku 1956 za przedstawienie „Zajac chwalipięta” J. Michałkova, które przygotowała z uczniami klas podstawowych uzyskała pierwsze miejsce w województwie i kwalifikację na eliminacje centralne do Warszawy, gdzie zespół zdobył 20 punktów na 25 możliwych.

Największe sukcesy odniosła jako nauczycielka wychowania technicznego. Nowy program tego przedmiotu, który zastąpił prace ręczne, wchodził do szkół w roku 1968 i robił karierę podobną do tej, która towarzyszy dzisiaj informatyce. Zakładano w nim metodologiczne podejście do każdej wykonywanej pracy. Reformatorzy zaprosili do współpracy nauczycieli przedmiotu. Zespół z Góry z Alfredą Onufrejczyk w sposób dowcipny podszedł do problemu tego nowatorstwa, opracowując „Mini dokumentację techniczną do Mini wieńca laurowego dla twórców programu”. Znajduje się w niej pełny opis – analiza potrzeby, konstrukcja, koszt materiału, koszt robocizny, harmonogram, instrukcja BHP i instrukcja obsługi, którą przytoczę:

1. Przypinanie wieńca

- a. wieńiec ująć trzema palcami w ten sposób, by ostrze szpilki znalazło się na dole
- b. ująć drugą ręką klapę marynarki i odchylić ją lekko
- c. wciskamy szpilkę w materiał i kończymy przypinanie

2. Sposób noszenia

Wieńiec należy nosić z piersią wysuniętą lekko do przodu i zawsze z podniesioną głową.

Obdarowani twórcy programu Z. Dąbrowski i J. Węgrzynowicz nawiązali z autorką osobistą i urzędową korespondencję (pismem odręcznym, bo komputerów i drukarek wtedy nie było, o czym może nie wiedzą młodzi ludzie) i zaprosili zespół z Góry do współpracy z Instytutem Pedagogiki w Warszawie i Pracownią Kształcenia Politechnicznego, która trwała wiele lat i przyniosła obustronne korzyści. Odpowiadając temu wyzwaniu zorganizowała od podstaw dwie pracownie prac technicznych, które w konkursach wojewódzkich ogłoszonych przez kuratorium wrocławskie uzyskały pierwsze miejsce w 1969 i 1971 roku.

Swoje doświadczenia w tym zakresie przedstawiła w opublikowanych w piśmie metodycznym „Wychowanie Techniczne w Szkole” odczytach pedagogicznych.

W latach 1966-1975 była opiekunem samorządu uczniowskiego i przy udziale młodzieży stworzyła podstawy szkolnego systemu wychowawczego, którego elementy przetrwały przez wiele lat w Liceum Ogólnokształcącym im. Adama Mickiewicza w Górze. Ze smakiem zagospodarowała szkolny ogród, który był swego rodzaju mini parkiem, gdzie śladów swojej pracy poszukują przyjeżdżający na zjazdy absolwenci.

Nigdy nie potrafiła być zadowolona z tego, co już osiągnęła, wciąż poszukiwała nowych wyzwań. Tak zrodziła się fascynacja językiem esperanto, prowadziła naukę tego języka, była przewodniczącą Górowskiego Koła Esperantystów i członkinią władz wojewódzkich, brała udział w zjazdach krajowych i międzynarodowych.

Wyróżniona Złotą Odznaką ZNP, odznaką „Za zasługi dla województwa leszczyńskiego”; odznaczona: Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, tytułem honorowym „Zasłużony Nauczyciel PRL” i licznymi odznakami regionalnymi.

Zakochana w kwiatkach i ogrodzie, na pracę w którym zawsze znajdowała i znajduje czas i siłę. Jest osobą o niespożytych siłach witalnych i energii, której można Jej pozazdrościć. Dzielnie walczy z chorobą i mimo że jest w tej chwili osobą samotną, zachowuje optymizm i radość życia. Z utęsknieniem czeka na wiosnę i pracę w ukochanym ogrodzie.

Zofia Hanulak

“ “ “ “ “

POLSKA PARTIA ROBOTNICZA

Komórka Polskiej Partii Robotniczej w Górze została zorganizowana w lipcu 1945 r.¹ Pierwszym sekretarzem KP PPR był Franciszek Skalski², drugim – Antoni Nikiel³. W 1946 r. nastąpiła zmiana – jak wynika ze wspomnień St. Włodarskiego – z powodu pijaństwa i wtedy prawdopodobnie rozpoczął szefowanie Stefan Augustyniak⁴, potem następnymi: Kazimierz Sobkowicz⁵, Feliks Kopacki⁶ (od 1 marca 1947 r.⁷), Hieronim Krawczyk (na pewno pełnił tę funkcję od stycznia 1948 do sierpnia 1948 r.), Antoni Rusiecki (funkcję sprawował w listopadzie 1948 r.).

Zwierzchnicy nisko oceniali swych górowskich podwładnych – „*Powiat mało aktywny politycznie. Od dłuższego czasu s/abi sekretarze*”⁸. Uwaga ta została zapisana w sprawozdaniu za okres od 31 grudnia 1947 do 31 stycznia 1948 r., czyli dotyczy poprzedników tow. Krawczyka. Krawczyk też nie był lepszy, gdyż w 1952 r. trzeba było pobraną przez niego zaliczkę w wysokości 120 zł (przed denominacją 4000 zł) umorzyć, bo nie udało się ustalić jego miejsca zamieszkania i spowodować zwrot pobranej sumy.⁹ Rusiecki na początku 1952 r. został „*wyprowadzony z aparatu*” PZPR za nieudolność w pracy i brak czujności.¹⁰

Nieco więcej informacji dzięki wspomnieniom St. Włodarskiego mamy o tym, jak narodziła się PPR w Wąsoszu. W listopadzie 1945 r. przybyła na posterunek MO grupka studentów, agitująca za założeniem PPR. Spośród 17. milicjantów „*dobrowolnie*” zgłosiło się 6. łącznie z autorem relacji. Wkrótce przybyli dwaj aktywiści z Góry. Zwerbowano Jana i Józefa Grzędów z Ostrawy, Romana Guzikowskiego z Płosek, Jana Więcka – restauratora z Wąsosza, Nowaka – właściciela masarni, J. Gądka – restauratora. Powstał komitet gminny PPR, jego I sekretarzem został Józef Grzęda, II sekretarzem – Jan Więcek. Na początku 1946 r. wąsoski PPR liczył 125 członków, w tym wszyscy milicjanci. Wśród nich znalazł się sekretarz urzędu miejskiego Franciszek Maćkowski.¹¹

Zakładano komórki PPR w innych miejscowościach: w Goli Górowskiej założycielem był Jan Kręzła, w listopadzie 1945 r. w Niechlowie – Zbigniew Koziół, potem za sprawą tego ostatniego w Żuchlowie i w PKP Niechlów; powstały struktury

¹ Pasierb Br.: *Życie polityczne Dolnego Śląska: 1945-1950*. Wrocław 1979 s. 63, 69

² Wg pisma skierowanego do PUBP w Górze datowanego 7 sierpnia 1946 r. pełnił funkcję I sekretarza KP PPR. (APW: KP PPR w Górze Śląskiej 5/V/9 s. 37); Fr. Skalski samowolnie zajął gospodarstwo rolne we wsi Ługi-Unistawice, nie mając doświadczenia rolniczego po kilku latach zrezygnował z jego prowadzenia i wyjechał poza teren powiatu górowskiego

³ Włodarski St.: *To były trudne dni. [W:] Tworzyliśmy cząstkę nowej Polski: wspomnienia dolnośląskich działaczy PPR: (1945-1948)*. Red. Br. Pasierb Wrocław 1974 s. 455

⁴ APW: SP Góra Śl. 55 s. 35; wg St. Włodarskiego - Władysław (op.cit. s. 455)

⁵ Włodarski St.: op. cit. s. 455

⁶ Ibidem s. 456

⁷ APW: KW PPS 36/VII/24 s. 30-31

⁸ APW: KW PPR 1/VI s. 96

⁹ APL: KP PZPR Góra Śl. 22 bp (posiedzenie egzekutywy 22 lutego 1952 r.)

¹⁰ APL: KP PZPR Góra Śl. 22 bp (posiedzenie egzekutywy 17 stycznia 1952 r.)

¹¹ Ibidem s. 434, 439-442; Bobrowski Fr.: *Ziemia Górowska: PPR, PPS - droga do jedności*. Rozm. przepr. A.Z. „Pan. Leszcz.” 1988 nr 51 s. 4 - tu jest nieco inaczej ukazane powstawanie PPR w gminie Wąsosz: „*Pod koniec czerwca 1945 r. w dwóch wsiach gm. Wąsosz działający już organizację w Pobielu - sekretarzem był Kargul, Ostrowie - Józef Grzęda oraz Wąsoszu - Jan Więcek. Na początku listopada 45 r. utworzono KG PPR a na I sekretarza wybrano Jana Więcka*”.

PPR we wszystkich wsiach gminy Siciny, a I sekretarzem KG wybrano Ignacego Maleckiego.¹²

Komórka PPR'owska w Sicinach wyróżniła się w oczach starosty i na jej temat znalazła się wzmianka w sprawozdaniu sytuacyjnym obejmującym marzec 1946 r.: „*Na szczególną uwagę zasługuje ta okoliczność, że komórka PPR w Zyczu [Sicinach] nie przestrzega zasad organizacyjnych i wielu jej czynnych członków prowadzi nieobywatelski tryb życia. Samowola, gwałcenie praw obowiązujących, pijaństwo i niepoprawny stosunek do ludzi, lekceważenie wójta gminnego, który też jest czynnym członkiem tej partii, nie wpływa budująco na otoczenie. Celem uzdrowienia tam stosunków przeprowadziłem rozmowę z sekretarzem Komitetu Obwodowego*”¹³.

Tak Polska Partia Robotnicza w pow. górowskim przedstawiała swoją działalność: „*Organizacja partyjna na terenie powiatu jest najżywotniejsza, przejawia swój najżywotniejszy udział we wszystkich kampaniach masowych. Nastroje wśród członków partii biorąc ogólnie i na poszczególnych kolach pozytywnie, lecz są nieraz utyskiwania, gdyż element jest zbiorowy w powiecie i często zdarzają się wypadki pewnych wykroczeń przez naszych towarzyszy, co w pewnej mierze wpływa na daną organizację gminną czy gromadzką, a nawet na terenie miasta.*”¹⁴ Takie sformułowania lub podobne powtarzały się parokrotnie w sprawozdaniach. Pisano też, że „*Partia biorąc udział we wszystkich akcjach masowych, prowadzi szeroką propagandę demaskującą Blok Imperialistyczny, obóz reakcji rodzimej jak i międzynarodowej, jednocześnie kładzie się nacisk na prenumeratę pism partyjnych, które z każdym dniem ilością wzrastają*”¹⁵.

Jak wówczas wyglądała praca partyjna, opisuje St. Włodarski: „*[...] w tygodniu odbywały się 2 razy prezydium KP PPR. Rozpatrywano wszystkie tematy tak z sytuacji politycznej, jak też gospodarczej. Każde takie posiedzenie rozpoczynało się o godz. 12.00, a kończyło się często o godzinie 24.00 lub nad ranem dnia następnego. Jeśli Prezydium KP miało 2-3 tematy, to wszyscy sprawozdawcy musieli przybyć na godzinę 12 i czekać w swej kolejce aż do rana. Często ostatni temat odkładano na następne posiedzenie bez uprzedzenia. Wzmogła się dyscyplina odpowiedzialności na kierowniczych stanowiskach w zakładach pracy i urzędach administracji państwowej. Obsadzano wówczas odpowiednimi ludźmi. Oczywiście pierwszeństwo awansu mieli aktywiści partyjni, gdyż wzmogła się odpowiedzialność za pracę polityczną w zakładach pracy i urzędach.*”

Godny przypomnienia jest fakt, że ówczesne konferencje KP PPR trwały po 2-3 dni, a wygłaszane referaty były pisane tak szczegółowo, iż obejmowały ponad 100 stron. Na dyskusję przeznaczano wówczas cały dzień. Delegaci z terenu nocowali w różnych pokojach gościnnych towarzyszy członków PPR zamieszkujących w mieście Góra, a także w pokojach przy zakładach pracy. My aktywiści PPR poza pracą zawodową prawie codziennie mieliśmy wyjazdy na zebrania wiejskie i zakładowe. Na zebraniach wiejskich, które obsługiwałem, prawie każdy temat dotyczył mobilizacji rolników do zwiększenia produkcji.”¹⁶

Na podstawie zachowanych archiwaliów wyraźnie widać, że działaczom PPR chodziło o maksymalne powiększenie szeregów partii i obsadzenie swymi ludźmi różnych stanowisk, a wszystko to czyniono, żeby rządzić wszystkimi dziedzinami życia.

¹² Bobrowski Fr.: op.cit. s. 4

¹³ APW: SP Góra Śl. 56 s. 88

¹⁴ APW: KW PPR 1/VI 48 s. 94

¹⁵ APW: KW PPR 1/VI 48 s. 94

¹⁶ Włodarski St.: op. cit. s. 456-457. Mam wrażenie, że ten opis bardziej przedstawia pierwszą połowę lat 50. niż lata 40.

W październiku 1945 r. liczyła 110 członków, w listopadzie – 156, w grudniu – 194, 1 maja 1946 r. – 289 (co miało stanowić 1,15% liczby ówczesnej ludności).¹⁷ W lipcu 1947 r. PPR'owców było 1.017.¹⁸

O rozwoju liczebnym tej partii w następnych miesiącach mamy dokładniejsze dane:

Data	31 XII 47	31 I 48	29 II 48	31 III 48	30 IV 48	31 V 48	30 VI 48	31 VII 48
Kola	92	107	121	135	139			
Członkowie	960	1027	1091	1189	1250	1265	1332	1323

Źródło: KW PPR 1/VI 48 s. 94; s. 102; s. 106; s. 114; 5/V/2 s. 17; 1/VI 48 s. 128; s. 133

Jednak nadmierna liczba kół – ponad 130 – przysparzała kłopotów, gdyż partyjni funkcjonariusze nie byli w stanie ich obsłużyć, toteż podczas posiedzenia egzekutywy KP PPR w dniu 17 listopada 1948 r. sformułowano wniosek, żeby je skomasować.¹⁹

Od 1 stycznia do 1 czerwca 1948 r. przeprowadzono „wyscig organizacyjny”. Wzięły w nim udział – Komitet Miejski Góra Śląska (sekretarz Kisiel-Grudecki) i Komitety Gminne: Góra (sekretarz Kędziński-Szendryk), Luboszyce (Stanisław Brzozowski), Psary (Domański), Wąsosz (Antoni Nikiel), Rudna Wielka (Franciszek Wermiński), Czernina (Władysław Wojsiak) i Siciny (Ignacy Małecki). „Wyscig” zakończono 31 czerwca [!] 1948 r.

Komitety konkurowały w następujących kategoriach – werbunek nowych członków, nowe koła, ubytek członków, opłacanie składek członkowskich. W ostatecznej klasyfikacji na pierwszym miejscu uplasował się Komitet Gminny w Wąsoszu, na drugim – Komitet Gminny w Rudnie Wielkiej, na trzecim – Komitet Gminny w Sicinach, na kolejnych – Czernina, Psary, gmina Góra, miasto Góra Śląska, Luboszyce.

Warto tu pokazać, jak wyglądał werbunek w tym „wyscigu organizacyjnym”:

Nazwa komitetu	Stan członków 31 XII 47	Zwerbowano w miesiącach					Ogółem zwerbowano
		Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	
Góra Śl.	264	19	13	13	18	18	81
Góra	90	3	2	7	5	8	25
Luboszyce	93	1	7	-	5	6	19
Psary	69	4	5	17	6	-	32
Wąsosz	111	28	15	32	16	12	103
Rudna W.	102	15	21	7	3	6	52
Czernina	106	8	11	16	-	-	35
Siciny	131	6	6	23	15	10	60
Razem	966	84	80	115	68	60	407

Źródło: KW PPR 5/V/6 s. 139

¹⁷ Ibidem s. 135, 139

¹⁸ Kowalik A.: *Z dziejów Polskiej Partii Robotniczej na Dolnym Śląsku w latach 1945-1948*. Wrocław 1979 s. 36

¹⁹ APW: KW PPR 1/VI 48 s. 71

Oceniono, że Komitety Gminne w Wąsoszu, w Sicinach i w Rudnie Wielkiej zasługują na pochwałę i uznanie, ale „*Dalsze gminy, które mogły ze siebie wydać więcej, nie doceniły obowiązku na nie nałożonego przez Partię, zlekceważyły linię naszą, wobec tego stanęły na szarym koniu, a ten bardziej Komitet Miejski Góra Śl., który powinien przodować. Jest to nauka na przyszłość, by wszystkie zarządzenia nie były lekceważone, lecz zrealizowane*”.

Od 1 września 1948 r. aż do zjednoczenia PPR i PPS ogłoszono kolejne współzawodnictwo pomiędzy gminami i kołami. Na współzawodnictwo miały się składać: werbunek członków „*spośród bezpartyjnych*”; „*oczyszczanie szeregów z elementu psującego prace naszych szeregów Partyjnych*”; kolportaż gazet partyjnych; składki; życie organizacyjne. Nagrodami miały być pochwały i dyplomy, które w dniu zjednoczenia partii robotniczych będzie rozdawać delegat Komitetu Wojewódzkiego.²⁰

Z dostępnych archiwaliów wynika, że górowska PPR przyczyniła się do usunięcia Piotra Kuźmińskiego ze stanowiska sekretarza wydziału powiatowego za poglądy reakcyjne, Klemensa Gołębskiego z PPS ze stanowiska referenta osiedleńczego przy starostwie, który „*wprowadzał bałagan na odcinku osiedleńczym*”, Juliana Radomskiego z PPS ze stanowiska dyrektora Komunalnej Kasy Oszczędności, który „*prowadził kasę do upadku*” i był reakcjonistą²¹, dyrektora cukrowni Stanisława Waligórskiego z SD (o czym szerzej w artykule „Stronictwo Demokratyczne”), przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej Leona Maciejewskiego z PPR; składano donos na ks. Kazimierza Walkowa, który był jednym z pięciu pierwszych nauczycieli liceum: „*Chcę nadmienić – pisał I sekretarz KP PPR Hieronim Krawczyk – że ks. Walkow jednocześnie uczy w gimnazjum języka Angielskiego, co byłoby niepożądane ze względu na jego wrogi stosunek do obecnego ustroju. Wobec czego należało by interweniować w Kuratorium by usunąć ks. Walkowa z prefekta religii ze szkół i prof. języka Angielskiego z gimnazjum.*”²² Nie wiadomo, czym się skończyła ta ostatnia sprawa.²³

Nie wiemy jak daleko sięgał wpływ PPR na obsadę stanowisk w powiecie, ale niżej przytoczone pismo pokazuje mechanizm, który skutecznie stosowano.

„*Naczelnik poczty Sowicki Stanisław przybył do Góry Śl. w m-cu styczniu 1946 r. i objął stanowisko naczelnika.*

Z chwilą przybycia na nasz teren przynależność partyjna była PSL. Dopiero kiedy został całkowicie rozbity PSL, Sowicki natenczas zdecydował się wstąpić do PPS-u, by tylko zatrzeć swą reakcyjną działalność.

Zapatrywania jego są czysto Mikołajczykowski, jest wielkim wrogiem Dzisiejszej Rzeczywistości a jeszcze większym wrogiem naszej Partii. Na każdym kroku stara się nam rozbijać pracę, a jest taki spryciarz, że nie można go przyłapać na tej robocie i posadzić.

Z-ca jego Dydek Józef jest tego samego pokroju i nie ma co nich opisywać, tylko zdjąć obu z tych stanowisk i przysłać na ich miejsce innych możliwie naszych towarzyszy. Dydek Józef jak i cały pozostały personel są bezpartyjni, bo tak chce ich naczelnik.

²⁰ APW: KW PPR 5/V/6 s. 139-142

²¹ APW: KW PPR 5/V/2 s. 13

²² KW PPR 1/VI 48 s. 126

²³ Ks. Kazimierz Walkow uczył religii i łaciny w liceum w Górze w latach 1945-1953. (Janina Wlazlak: Wiara i świadectwo, Góra 1996 s. 21-24; Autorka nie wspomina, żeby ks. Walkow uczył języka angielskiego.)

Starania nasze spe/za/ły na niczem celem za/łożenia tam ko/ła naszego i dziś, kiedy mamy jednego tylko towarzysza montera poczty, naczelnik i jego z-ca starają się mu dawać taką pracę, którą on nie jest w stanie wykonać, przez co oni mają powód do zwolnienia go.

O ile by się rozchodziło o z-cę naczelnika, to nasz tow. Wyszyński Jan, posiadający wieloletnią praktykę na poczcie, może z powodzeniem stanowisko to prowadzić, a nawet w 100% lepiej od obecnego z-cy. Na naczelnika człowieka nie mamy, wobec tego prosimy o zabranie jego a przysłanie innego, przez co uzdrowią się stosunki na poczcie i będziemy mieli możliwość założyć nasze ko/ło.

Opinia cieszą się jak najgorzej i są pod ciągłej obserwacji naszych organów.”²⁴

Pewnym ograniczeniem PPR był brak odpowiednich ludzi:

„Na odcinku wysuwania kadr part.[yjnych] praca idzie ciężko, gdyż u nas w powiecie nie posiadamy członków w partii, których by było można wysuwać na jakieś odpowiedzialne stanowisko, jednak staramy się o ile możliwości członków zdolnych i z autorytetem wyławić, z których tworzymy kadry part.[artyjne] naszego powiatu.”²⁵;

„Werbunki do szkół partyjnych i innych nie udają się tak na naszym powiecie przeprowadzić. Ponieważ powiat nasz jest czysto rolniczy, gdzie członkowie nasi są przeważnie 80% jedynymi pracownikami prowadzącymi swe lub rodziców gospodarstwa, przeto spotykamy się na wielkie trudności werbowania i przygotowania kadr na szkoły.

Ta sama sytuacja przedstawia się w szeregach naszych robotników, których mamy niewiele i to po większej części takich, których absolutnie nie można wysłać. Dobrych tow.[arzyszy], których mieliśmy, to wyjechali z powodu braku pracy.”²⁶

Mirosław Żłobiński

e f e f e f

²⁴ APW: KW PPR 5/XIII/1 s. 8

²⁵ APW: KW PPR 1/VI 48 s. 94

²⁶ APW: KW PPR 5/V/2 s. 41

SKARGA ROBOTNIKÓW DO PREZYDENTA BIERUTA

W latach 1949-1951 na terenie pow. górowskiego funkcjonowało Powiatowe Przedsiębiorstwo Budowlane. Jego roczny przerób ustalano na poziomie ok. 3 mln zł, z czego tylko 54% prac wykonywano na terenie macierzystego powiatu (w owym czasie, w tej okolicy, nie prowadzono poważniejszych robót budowlanych). W 1951 r. na przerób w wysokości 2,9 mln zł poza terenem powiatu wykonano pracę na sumę 1 343 515 zł (w tym – DBOR [Dyrekcja Budowy Osiedli Robotniczych?] Wrocław – 250 tys. zł; ZOPGR Legnica [Zjednoczenie Okręgowe Państwowych Gospodarstw Rolnych?] – 625 132 zł, Brzeg Dolny „Rokita” – 250 tys. zł). Brak prac budowlanych na terenie pow. górowskiego spowodował, że z dniem 1 stycznia 1952 r. połączono PPB w Górze z podobnym przedsiębiorstwem w Wołowie. Być może była też inna przyczyna, czym się zajmiemy w tym artykule. Po 1952 r. teren powiatu obsługiwały: PPB w Wołowie oraz – w miarę przybywania robót remontowo-konserwacyjnych i inwestycyjnych – PPB Leszno, PPB Trzebnica i Spółdzielnia Pracy Remontowo-Konserwacyjnej w Górze (po 1954 r.).¹

W marcu 1951 r. członkowie egzekutywy Komitetu Powiatowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – ówczesni rządzący powiatem – mieli wiele zastrzeżeń, co do działalności PPB: nieracjonalne wykorzystanie pieniędzy, brak oszczędności, niepodnoszenie wydajności pracy, zła dyscyplina pracy (niepunktualność pracowników, pijaństwo, bójki), niewłaściwa organizacja pracy, niewłaściwe wykonanie pewnych prac (w Luboszycach i w PGR'ach). Zarzuty podnoszono wobec kierownika technicznego: „nie pilnuje i nie interesuje się pracą i wykonywaną robotą”. Jednak największe oburzenie budził fakt, że przedsiębiorstwo zamówiło 300 tys. sztuk cegieł w pow. milickim, zamiast je kupić w miejscowych cegielniach. I sekretarz KP PZPR Antoni Rusiecki uznał to wręcz za „przestępstwo”, choć sytuacja nie była jasna, bo też z jego wypowiedzi wynikało, że górowskie PPB musiało właśnie tam kupić rzeczony cegły.² Żadne zarzuty nie były wysuwane pod adresem kierownika PPB – Przystupy.³

We wrześniu okazało się, że w PPB w Górze są jeszcze inne nieprawidłowości. Robotnicy z tego przedsiębiorstwa wysłali skargę do prezydenta Bieruta. Napisali w niej – jak relacjonował tow. Rusiecki – że „*nigdzie nie mogli otrzymać pomocy jak w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej u tow. Włocha, tak samo i w Komitecie Powiatowym PZPR. Dalej w piśmie tym było, że tow. Przystupa wraz z tow. Włochem wspólnie popijają sobie, są dobrymi przyjaciółkami przez co skargę złożone przez robotników do Włocha nie są załatwiane. Dalej pisze się, że tow. Włoch ma na mnie jako Sekretarza K.P. wielki wpływ przez co również zażalenia wpływające do K.P. nie są załatwiane przeze mnie*”⁴

¹ Charakterystyka powiatu Góra Śląska. Góra Śląska 1956 s. 28 (maszynopis)

² APL: KP PZPR Góra Śląska 20 bp (posiedzenie egzekutywy 15 marca 1951 r.). Nie do końca jest jasne, jak właściwie nazywało się to przedsiębiorstwo, bo pojawia się też skrót BPP.

³ W dostępnych dokumentach nie zapisano jego imienia, zresztą wobec innych osób postępowano tak samo.

⁴ APL: KP PZPR Góra Śląska 21 bp (posiedzenie egzekutywy 17 września 1951 r.)

Przystupa miał być opryskliwy, źle się obchodzić z ludźmi, określano go słowami „*wielki dyktator*”, „*miał poważne wybryki na zak/ądzie*”, „*wrogię ustosunkowanie się do robotników, ordynarne odnośenie się do nich*”. Tylko takie ogólniki zapisano w dokumentach, samego listu zainteresowani nie widzieli, jedynie odpis.

Dwaj oskarżeni – Rusiecki i Włoch – bronili się. Trzeci – Przystupa – w tym posiedzeniu egzekutywy nie uczestniczył, więc nie miał szans wypowiedzieć się w swojej obronie. W ogóle sytuacja była absurdalna, gdyż dwaj oskarżani przez robotników byli, podczas posiedzenia egzekutywy w dniu 17 września 1951 r., sędziami we własnej sprawie. Ponadto list robotników do prezydenta Bieruta pośrednio mógł dotyczyć wszystkich członków egzekutywy, którzy być może sytuację w PPB tolerowali, a teraz orzekali w tej sprawie.

Br. Włoch – przewodniczący PPRN:

„Co do pića z nim wódkę przyznam się, że był tylko jeden wypadek, kiedy w roku 1950 po marszach jesiennych na S.P.O. ja wraz z Przystupą biorąc w nich udział poszedłem jeszcze z innymi i wypiliśmy wódkę, jednak ja piłem za swoje pieniądze i z nimi długo nie siedziałem pozostawiając ich nadal w restauracji, więcej do tego czasu wódkę nie piłem z tow. Przystupą. Co do koleżeństwa zarzucanego mi w tym piśmie, to muszę stwierdzić, że istniało ono tylko na tyle by załatwić sprawy służbowe, innego przyjaćelstwa pomiędzy mną a Przystupą nie ma. [...] jak może być pomiędzy nami dobre przyjaćelstwo, kiedy ja Przystupę zawsze przeganiałem za niedostarczanie mi na czas sprawozdań oraz mocno go biłem za remonty przeprowadzane przez B.P.P. w terenie. Uważam, że zarzuty w stosunku do mnie są na tyle tylko służbowe, że raz z nim wypiłem i wyjeżdżając na wczasy pobrałem kartę wczasową od personalnego, do innych zarzutów nie przyznaje się. Ponieważ zaistniał taki wypadek i podezwana została mi opinia prośbę Egzekutywy o wystąpienie z wnioskiem o zdjęcie mnie z zajmowanego stanowiska względnie przeniesienie na inny powiat tylko nie do Kamiennej Góry.”⁵

Następnie zabrał głos Stanisław Grzyb – szef Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, który uznał, że zarzuty robotników PPB dotyczą nie tylko dwu osób, wymienianych z nazwiska, ale całej egzekutywy, ponieważ nie starała się uzdrowić stosunków panujących w tym przedsiębiorstwie ani wyrzucić Przystupę.

A. Rusiecki – I sekretarz KP PZPR:

„[...] co do stosunków w B.P.P.-ie są one bardzo złe, które może ja i Włoch do tego czasu tolerowaliśmy, ale nie dlatego, że rzekomo jestem Włocha przyjaćelem. Wielokrotnie, kiedy tow. Przystupa składał sprawozdanie na posiedzeniu Egzekutywy, to żaden z członków [...] nie potrafił w stosunku do niego ostro wystąpić i powiedzieć o tych rzeczach, o których dzisiaj słyszał, by za te rzeczy zmyć mu głowę. Co do zdjęcia jego ze stanowiska, to nieraz się zastanawiałem, gdyż jak dotąd tak i teraz brak jest odpowiedniego człowieka w jego miejsce. Co do zarzutów stawianych przez tow. Grzyba, że jednoosobowo były załatwiane sprawy przyjmowania i zwalniania ludzi na zak/ądzie, to muszę stwierdzić, że tylko osoby podlegające nomenklaturze muszą być zatwierdzone przez Egzekutywę. Co do innych osób załatwia to Wydział Kadr w porozumieniu moim. [...] o ile idzie o stosunek do tow. Włocha, to muszę stwierdzić, że nie jest on taki przyjaćelski, jak mi zarzucają w piśmie. Na wódkę z Włochem nie chodzę, ponieważ ja nie piję, na tyle utrzymujemy stosunki na ile

⁵ Podczas posiedzenia egzekutywy KP PZPR w Górze Śląskiej w dniu 19 lipca 1951 r. poinformowano o telefonogramie z KW PZPR, iż Br. Włoch został przeniesiony do powiatu Kamienna Góra. (APL: KP PZPR Góra Śląska 21 bp). Coś w związku z tym musiało się wydarzyć, nie wiadomo co i dlatego Br. Włoch nie chciał mieć nic wspólnego z Kamienną Górą.

wymagają sprawy służyć i dobro naszego powiatu. Co do wpływu Włocha na mnie, to jest wręcz przeciwnie, gdyż Włoch w wielu wypadkach musi to zrobić, co mu Partia rozkaże, dlatego też stwierdzam, że te rzeczy ujęte w tym piśmie są niesłuszne, które podrywają mój autorytet i całej naszej Partii. W związku z tym zwracam się do członków Egzekutywy, by sami rozstrzygnęli sprawę, czy tow. Włoch ma na mnie wpływ, względnie że z nim utrzymuje bliskie stosunki przyjacielskie.”

Piotr Kulatorowicz – członek egzekutywy i zarazem komendant powiatowy MO – tak zinterpretował powstałą sytuację: winny Przystupa, jego wybryki podrywają autorytet PZPR i rad narodowych. Pozostali członkowie egzekutywy przyjęli taką interpretację. Na zakończenie swojej wypowiedzi Kulatorowicz postawił wniosek:

„Trzeba się natychmiast ostro wziąć do oczyszczenia z niepożądanego elementu siedzącego na kierowniczych stanowiskach a szczególnie w B.P.P.-ie, którzy prowadzą wrogą robotę i przeszkadzają w wykonywaniu planu naszego a co gorsze starają się różnymi sposobami podrywać autorytet Partii i Rad Narodowych. Na ich miejsce należy wysunąć śmiało zdrowych robotarzy, którzy więcej nam dadzą i mogą uzdrowić stosunki na zakładach.”

Pozostałe osoby chętnie jego tok rozumowania podjęły. Szczególnie skwapliwie uczynił to A. Rusiecki:

„[...] trzeba natychmiast przeprowadzić szczegółową analizę na poważnych stanowiskach w tutejszym B.P.P.-ie, gdzie muszą stwierdzić, że jest wiele wrogów a wrogowie jak nam wiadomo w obecnej chwili stosują różne metody walki i napisanie listu do tow. Bieruta na pewno nie wypłynęło z inicjatywy robotników, ale przez podburzanie ich przez naszych wrogów. Co do samego pisma, muszę stwierdzić, że jest tu wroga robota, gdyż jak wiemy w piśmie tym napisali, że tow. Włoch ma hitlerowskie podejście do robotników. Musimy koniecznie dojść do tego, kto to pismo układał i kto był jego organizatorem, gdyż nie wiemy, by to zrobili sami robotnicy.”

Tym tropem poszli P. Kulatorowicz i St. Grzyb. Ten ostatni ubolewał, „dlaczego Przedstawiciel K.W. nie przyjechał z oryginałem a z odpisem, bo gdybyśmy widzieli oryginał i podpisy pod nim złozone, moglibyśmy szybciej dojść do tego, kto je pisał.” Mówił to szef PUBP. Możemy się domyślać, jakie konsekwencje by spotkały osoby, które tę skargę do prezydenta Bieruta napisały lub tylko się pod nią podpisały. Jednocześnie St. Grzyb dostrzegł pobłażliwość I sekretarza KP PZPR wobec członków partii: „nie były wyciągane wnioski dyscyplinarne w stosunku do winnych”. Zakończył swe wystąpienie wezwaniem, żeby „skończyć z ojcowiskim podejściem do członków Egzekutywy, pracowników K.P.”⁶

27 września 1951 r. egzekutywa wydała werdykt w sprawie skarg robotników do prezydenta Bieruta. Zarzuty wobec Przystupy – kierownika Powiatowego Przedsiębiorstwa Budowlanego uznano za zasadne. Dalsze piastowanie przez niego tego stanowiska mogło przynieść jeszcze większe niezadowolenie wśród robotników, co zmniejszyłoby ich wydajność. Egzekutywa postanowiła zdjąć Przystupę dyscyplinarnie z zajmowanego stanowiska i na posiedzeniu POP wykluczyć z szeregów PZPR.

Wobec A. Rusieckiego i Br. Włocha egzekutywa doszła do wniosku:

„[...] o ile rozchodzi się o tow. Włocha Bronisława to Egzekutywa K.P. nie dopatruje się by tow. Włoch był powiązany z Przystupą i razem z nim popijał za wyjątkiem jednego razu w jesieni roku ubiegłego regulując swój rachunek. Dalej Egzekutywa nie dopatrzyła się hitlerowskiego postępowania w stosunku do swych podwładnych przez tow. Włocha, jedynie stwierdzić można, że jest on nerwowy i

⁶ APL: KP PZPR Góra Śląska 21 bp (posiedzenie egzekutywy 17 września 1951 r.)

wybuchowy, co miało miejsce. W związku z tym tow. Grzyb postawił wniosek, by ukarać tow. Włocha upomnieniem, by w przyszłości więcej uwagi zwracał na BPP i nie tolerował wybryki kierownika. W stosunku co do Tow. Rusieckiego Egzekutywa K.P. nie stwierdziła by między nimi istniały przyjaźielskie stosunki i by tow. Włoch miał wielki wpływ na tow. Rusieckiego. Raczej było odwrotnie, że wpływ miał tow. Rusiecki na Włocha. Tow. Grzyb stwierdził, że jest tu i pewna wina tow. Rusieckiego, który tolerował te sprawy, w związku z czym postawił wniosek o zwrócenie uwagi tow. Rusieckiemu, by w przyszłości spraw takich nie tolerował a w stosunku do winnych wyciągał jak najdalej idące konsekwencje”

Rozpatrywano też już kandydaturę na stanowisko kierownika BPP.⁷ Jednak z początkiem nowego roku przedsiębiorstwo zostało wchłonięte przez analogiczną jednostkę z Wołowa, być może z powodu skargi robotników do prezydenta Bieruta.

Jak się potoczyły dalsze losy bohaterów tej afery?

Przystępując zapewne po utracie stanowiska wyjechał z terenu powiatu górowskiego i nic więcej o nim nie wiemy. Kariery polityczne Br. Włocha i A. Rusieckiego załamały się. Dlatego można przypuszczać, iż postawione w skardze robotników zarzuty wobec tych dwu osób musiały mieć jakąś realną podstawę.

Podczas najbliższej konferencji sprawozdawczo-wyborczej PZPR w dniach 5 i 6 stycznia 1952 r. A. Rusiecki nie został ponownie wybrany na stanowisko I sekretarza KP, później w ogóle utracił pracę w PZPR („został wyprowadzony w ogóle z aparatu za jego nieudolność w pracy”). Zresztą nie tylko on, ale więcej towarzyszy z górowskiego KP straciło pracę, m.in. II sekretarz. Dowodem nieufności KW PZPR wobec lokalnej organizacji PZPR było objęcie funkcji I sekretarza przez Władysława Pilatowskiego po półrocznej pracy w POM’ie a pracownicy KP pracujący po trzy lata zostali pominięci w awansie.⁸ Zmiany kadrowe wyglądają na rozbicie klikki, która opanowała tamtejszy KP.

Br. Włoch od października 1948 r. pełnił funkcję przewodniczącego prezydium PRN w Górze Śląskiej. Po tej aferze karuzela nomenklaturowa ruszyła. 15 grudnia 1951 r. został przeniesiony na identyczne stanowisko do Jawora.⁹ Wygląda to na wymuszoną decyzję, w konsekwencji bowiem przez pół roku nie było przewodniczącego PPRN w Górze Śląskiej.¹⁰ PWRN skierowało z dniem 1 czerwca na teren powiatu Bolesława Rajcę, któremu PPRN powierzyło funkcję przewodniczącego.¹¹ Dopiero na sesji PRN w dniu 18 października 1952 r. na to stanowisko go radni w głosowaniu zaakceptowali.¹²

W ten sposób robotnicy skutecznie wywrócili układ rządzący w powiecie górowskim.

Mirosław Żłobiński

⁷ APL: KP PZPR Góra Śląska 21 bp (posiedzenie egzekutywy 27 września 1951 r.)

⁸ APL: KP PZPR Góra Śląska 22 bp (posiedzenie egzekutywy 17 stycznia 1952 r.)

⁹ APL: KP PZPR Góra Śląska 21bp (posiedzenie egzekutywy 18 października 1951 r.); data wg kroniki.

¹⁰ 8 lutego 1952 r. I sekretarz KP PZPR Wł. Pilatowski zaproponował kandydata, ale ten nie objął stanowiska. (APL: KP PZPR Góra Śląska 22 bp). Dopiero kandydat z zewnątrz – Bolesław Rajca został przewodniczącym PPRN.

¹¹ APW: PPRN 1 s. 117-123

¹² APW: PPR Góra Śląska 1 s. 143-147. B. Rajca urodził się w 1903 r., pochodzenie robotnicze, przed wojną – w KPP, od 1945 – w PPR, od 1948 – w PZPR, bez zawodu, wykształcenie średnie (APL: KP PZPR 1 – dane z 1954 r.)

HISTORIA MO, SB, ORMO I POLICJI W POWIECIE GÓROWSKIM – CZ. II (lata 50. i 60.).

Początek lat pięćdziesiątych nie przyniósł niestety stabilizacji i poprawy sytuacji w zakresie bezpieczeństwa i porządku społecznego na terenie powiatu górowskiego. Nadal zdarzały się napady, rozboje i to z użyciem broni palnej. Głośnym echem odbiły się napady (w rejonie posterunku Rudna Wielka, w pobliżu Wierzowic) na kierownika GS „Samopomoc Chłopska” i kierownika szkoły, ucznia tejże szkoły i pracownice PGR, wracające z zakupów. Zdarzenia te miały miejsce w październiku i listopadzie 1950 r.

Z kolei na terenie posterunku MO w Czerninie Urząd Bezpieczeństwa prowadził rozpracowanie byłych członków Związku Walki Zbrojnej z grupy Ligota o kryptonimie „Anglik”.¹ Organizacja ZWZ – AK powstała we wrześniu 1945 r. z inicjatywy Piotra Wiórka i Władysławy Świętorzeckiej. Liczyła ok. 16 osób i posiadała 4 grupy – placówki terenowe: Góra, Chróścina, Ligota i Ryczeń. Sprawa tej nielegalnej wtedy organizacji miała swój epilog już rok później. W maju 1946 r. nastąpiły pierwsze aresztowania, ostatnie w czerwcu. Cała grupa została rozbita, 7 osób skazano na więzienie (od 5 do 12 lat), jedną osobę uniewinniono. Sprawy dochodzeniowe i wyjaśniające trwały jednak dłużej, m.in. też z uwagi na fakt, że czterech członków tejże organizacji uciekło.² Z kolei na terenie powiatu prowadzono śledztwo w sprawie morderstwa o kryptonimie „Cygan”. Sprawcę tego czynu ustalono, ale nie zdołano go ująć.

W celu efektywniejszego działania, w Komendzie Powiatowej Milicji w Górze powołano zespół ludzi, których głównym zadaniem było zwalczanie bandytyzmu i kradzieży. Ponadto wprowadzono obowiązek daktyloskopii przestępców i osób podejrzanych. W KPMO zajmował się tym wywiadowca Bolesław Żemajtis, a na posterunkach w terenie komendanci tychże. Brak było niestety nadal laboratorium fotograficznego. Wykorzystywano laboratorium Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.³

Na przestrzeni roku 1951 odnotowano ok. 400 przestępstw, w tym 50 poważnych. Były to w zasadzie przestępstwa gospodarcze, ale 5 dotyczyło napadów rabunkowych z bronią w rękę. *„Jeden z nich dokonany został w dn. 28 maja 1951 r. na drodze ko/o wsi Wierzowice przez dwóch członków grupy rabunkowo-terrorystycznej na kasjera GS z Psar, w czasie którego zamordowany został konwojujący członek ORMO Jan Wilk. W napadzie tym zrabowano 8 500 zł. W tym samym roku ujęto jednego ze sprawców napadu i zlikwidowano grupę.”*⁴

W kolejnym roku działalności czynności milicjantów związane były (oprócz zwyczajowych spraw) z konwojowaniem pieniędzy i przedmiotów wartościowych, kontrolą przeciwpożarową, stanu sanitarnego i porządku na wsiach oraz sprawdzaniem

¹ Głajzer Z., Serafin J.: *Historia działalności MO i SB na terenie powiatu górowskiego w XXX-leciu PRL*. Góra 1974 s. 15 maszynopis

² Szwagrzyk K.: *Winni? Niewinni? Dolnośląskie podziemie niepodległościowe (1945-1956) w świetle dokumentów sądowych*. Wrocław 1999 s. 185-187

³ Głajzer Z., Serafin J.: s. 16

⁴ Ibidem s. 16

jakości zabezpieczania obiektów państwowych. Całkowicie w tym czasie wyeliminowano zjawisko szabrownictwa. W 1952 r. milicjanci prowadzili 38 śledztw w sprawach manka w magazynach i sklepach oraz 4 w sprawie gwałtów na samotne kobiety. Z kolei Urząd Bezpieczeństwa na swoim koncie zapisał dochodzenie w sprawie „nielegalnej” Harcerskiej Organizacji Podziemnej. O przynależność do niej posądzono 4 młodych górowian, uczniów Szkoły Ogólnokształcącej Stopnia Podstawowego. Za antyradzieckie hasła wypisane na murach i gazetkach zostali aresztowani na okres od marca do czerwca 1952 r.⁵

Rok 1953 to ponowne nasilenie przestępstw drobnych (kradzieże, włamania, rozboje). Milicjanci zanotowali też kilka znacznie wykraczających poza stereotypowe m.in. pożar mieszkania w Górze, gdzie śmierć poniosło troje dzieci; prowadzono dochodzenie w sprawie NN mężczyzny, którego zwłoki odnaleziono koło Zaborowic. Okazało się, że tutaj przywieźli go oprawcy z Poznania. W Starej Górze, w trakcie zabawy ludowej została zastrzelona bufetowa. Zabójstwa tego dokonał jej narzeczony z nielegalnie posiadanej broni. Podobnie było w Chocieborowicach. I tutaj w trakcie bójki na zabawie zginął jeden z uczestników.

Gwałty, kradzieże, rozboje – to zasadniczo główne przestępstwa, jakie zanotowano w latach 1953-1955. W roku 1956, pamiętnym wydarzeniami poznańskimi, na terenie powiatu nie zanotowano ani manifestacji ani wystąpień antypaństwowych. Najwięcej pracy milicjanci mieli z wylapywaniem więźniów – uczestników wystąpień poznańskich i zbiegłych z zakładów karnych.⁶ Obok tego tradycyjne już kradzieże (szczególnie w PGR-ach, gdzie zabezpieczenie mienia było złe), wybryki chuligańskie i wypadki drogowe. Wśród nich do cięższych należały: napad na sklepową i rabunek 1300 zł, dzieciobójstwo i usiłowanie zabicia milicjanta W. Wencla.

Dużo przestępstw gospodarczych zanotowano w związku z rozwiązywaniem spółdzielni produkcyjnych. Aż 72,4 % sprawców to dotychczasowi członkowie tych spółdzielni, którzy przywłaszczali np. maszyny, by korzystać z nich we własnych gospodarstwach rolnych. Zanotowano także 32 przestępstwa chuligańskie, w tym 8 z ciężkimi uszkodzeniami ciała.

W związku z nasilaniem się tego zjawiska, milicjanci uczestniczyli w kursach i różnych szkoleniach zawodowych, aby potrafili zmniejszyć skalę tych wydarzeń. Duży nacisk kładziono na pracę operacyjną. Ale jednocześnie nastąpiła reorganizacja sieci posterunków, co niestety nie pomogło pracującym tam milicjantom, gdyż przy tym samym stanie osobowym obsługiwali dwa razy większy teren. Z siedmiu posterunków (Góra, Wąsosz, Psary, Rudna Wielka, Czernina, Luboszyce, Siciny), pozostały tylko trzy: Góra, obejmująca swym zasięgiem teren Gromadzkich Rad Narodowych w Czerninie, Luboszycach i Ślubowie oraz samo miasto; Wąsosz – teren GRN Jemielna, Kamienia Górowskiego, Rudny Wielkiej i Wąsosza; Siciny – teren GRN Siciny, Niechlów, Witoszyce). Nie wpłynęło to niestety na zmniejszenie przestępczości. I faktycznie, w latach 1958-1959 wzrosła liczba przestępstw na tle chuligańskim, utrzymywała się wysoka ilość kradzieży. *„Duży procent popełnianych kradzieży stanowią kradzieże rowerów, które stały się plagą owych czasów. Dla przykładu na terenie powiatu górowskiego odnotowano 510 różnych*

⁵ Maćkowska E.: *Moja szkoła w PRL*. Góra 2002. s. 7-8 maszynopis; Szwagrzyk K.: s. 263

⁶ Głajzer Z., Serafin J.: s. 18

*przestępstw, z których wykryto 415, co stanowi 81.3 %. Zarysowuje się także wzrost przestępczości nieletnich, którzy organizują się w różnego rodzaju grupy... Uaktywniają się w tym czasie także członkowie ORMO, których stan wynosi 242 osoby.”*⁷ Biorą oni udział przede wszystkim w zasadzkach na złodziei drewna z lasu i kłusowników.

W tym okresie doszło też do zatrzymania przez Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego poszukiwanego od lat drugiego sprawcy napadu na funkcjonariusza ORMO z r. 1951. Chodziło o szefa grupy „Jutrzenka” ob. J. Kielara (Kilara) ps. Czech.⁸ Nazwisko to występuje też w związku z dochodzeniem i rozbiciem organizacji Adamczyka powstałej jesienią 1950 r. w powiecie górowskim. Członkowie tej organizacji nie godzili się z istniejącą sytuacją w kraju i wyczekiwali nadejścia wojsk gen. Andersa. Prokurator zarzucił im również zamordowanie członka ORMO w 1951 r. oraz chęć połączenia się z grupą „Jutrzenka” z Legnicy. Aresztowano 6 osób, Adamczyka skazano na karę śmierci, pozostali otrzymali wyroki od 6 do 10 lat.⁹ Interesująco wyglądają dane osobowe KPMO w Górze na początek lat sześćdziesiątych.

W KPMO ogółem pracowało 54 osoby. W tym: komendant powiatowy, jego zastępca, 3 dyżurnych, 1 starszy referent ds. ORMO, kierownik Referatu Operacyjno Dochodzeniowego, 3 pracowników tegoż referatu, technik dochodzeniowy, przewodnik psa tropiącego, drużyna służbowa składająca się z 8 osób (dowódca, 6 milicjantów i kierowca), pracownik KO, w Referacie Gospodarczym kierownik, milicjant i kierowca. W Referacie Ogólnym kierownik, referent i maszynistka, w Inspektoracie Ruchu Drogowego 6 osób, w Referacie Dzielnicowych 8 osób; na posterunku w Wąsoszu 5 osób oraz w Górze w Referacie ds. Bezpieczeństwa Publicznego 4 osoby. Milicjanci dysponowali 1 samochodem – popularnym „Żukiem” oraz 1 motocyklem z koszem. Niebawem jednak o kolejny samochód, tym razem osobowy, wzbogacił się referat ds. BP, a milicjanci z Ruchu Drogowego otrzymali dodatkowo drugi motocykl z koszem i 2 zwykłe. Dla pozostałych milicjantów przydzielono 24 rowery.

Na początku lat 60. zauważa się nowy typ wykroczeń – spekulację w handlu mięsem (tak wtedy określano handel wolnorynkowy prywatnych właścicieli masarni). W tym celu powołano w KPMO Inspektorat do Walki z Nadużyciami w Gospodarce Mięsnej. Oprócz milicjantów pracowali w nim inspektorzy z przedsiębiorstw państwowych. Kierownictwo Inspektoratu powierzono podporucznikowi Czesławowi Niechwiadowiczowi. Dużo wysiłku kosztowało również milicję zaprowadzenie porządku społecznego. Nadal bowiem szerzyły się włamania do sklepów i mieszkań prywatnych, ale też rozboje i zabójstwa. Na przykład w 1960 r. od ciosu nożem w serce zginął mieszkaniec Góry, a od uderzenia stołkiem w głowę mieszkaniec Ligoty. Sprawców ujęto. Ponadto funkcjonariusze KPMO w Górze brali udział w dochodzeniu w sprawie słynnego napadu na bank w Wołowie oraz ujęli dwóch bandytów, którzy zastrzelili konwojentów w Rawiczu. Wraz ze wzrostem ilości pojazdów mechanicznych na drogach wzrosła też ilość wypadków i to w dodatku wypadków wywołanych przez pijanych kierowców. Tylko w kwietniu 1963 r. milicjanci z posterunku w Górze zanotowali ich 15. Z kolei na terenie posterunku w Wąsoszu i Sicinach oraz w miejscowościach Wiklina,

⁷ Ibidem s. 19

⁸ Ibidem s. 19

⁹ Szwaagrzyk K.: s. 311-312

Rudna Wielka, Szedziec, Ślubów, Pobiel, Niechlów, Wroniniec i Czernina zanotowano znaczny wzrost kradzieży z włamaniem do sklepów i kiosków. Milicjanci ustalili, że sprawcami tych kradzieży były grupy przestępcze m.in. Siczki i Stycznia. W sumie dopiero jednak w roku 1970 udało się ustalić sprawców większości włamań. Okazali się nimi młodzi ludzie z Wąsoszka i Łękanowa.

Plagą lat 1965-1970 były też pożary. Szczególnie te, które regularnie wybuchały w miejscowości Psary. Tam najczęściej paliły się stodoły i stogi ze zbożem. Do ustalenia sprawcy (sprawców) zaangażowali się nawet inspektorzy Komendy Wojewódzkiej MO z Wrocławia. Sprawcy nie ujęto, a jedynie zahamowano falę podpaień. Z ustaleń milicji wynikało jednak, że mógł to być mieszkaniec wsi Psary, skłócony ze swoimi sąsiadami. Nadal też niestety odnotowywano zabójstwa i to nie tylko o podłożu chuligańskim. We wsi Pobiel pijany ojciec zabił nożem syna, w Wiewieży po pijackiej libacji w miejscowej restauracji pobito ze skutkiem śmiertelnym jednego z jej uczestników, w Drozdowicach przy sklepie podobny los spotkał innego mężczyznę. Sprawców ustalono i ujęto.

W czerwcu 1967 r. Sejm PRL uchwalił nową ustawę dotyczącą ORMÓ i zakres jej działania w nowych warunkach. Na terenie powiatu powstają kolejno: społeczne komitety ORMÓ dzielące się na zakładowe, terenowe i specjalistyczne. Zakładowe obszarem działania obejmowały zakłady pracy i przyległą okolicę, terenowe – obszar miejscowości, skąd pochodzili ORMÓ-wcy, specjalistyczne tworzono w zależności od potrzeb (ds. ruchu drogowego, bezpieczeństwa na wodach, na kolejach, dzieci i młodzieży, p. poż, ogólnoporzadkowe).¹⁰

Ciekawostką może być forma werbowania członków ORMÓ pośród młodych górowian. Wspomina jeden z nich „*Nauczyciel przysposobienia wojskowego w Techniku Ekonomicznym zaproponował nam, byśmy pilnowali porządku w trakcie organizowanych w szkole uroczystości i zabaw. Zgłosiło się nas 14 osób, z tym, że 2 szybko zrezygnowały. Nie mieliśmy żadnego spotkania ani przeszkolenia. Uznaliśmy, że będziemy potrzebni dopiero wtedy, gdy zajdzie taka konieczność. Zaskoczeniem dla nas było więc wezwanie na milicję po odbiór legitymacji ORMÓ. Nikt nam wcześniej nie mówił, że mamy zasilić jej szereg. Legitymacje odebraliśmy w grudniu 1969 r. ale to było nasze ostatnie w tej sprawie spotkanie, bo na kolejne wezwania, aby legitymacje przedłożyć nikt z nas już nie poszedł. Legitymację jeszcze mam, ale jako pamiątkę po ciekawych, z punktu widzenia historii, czasach*”.¹¹

Elżbieta Maćkowska

“ “ “ “ “

¹⁰ (Przemówienie w 33 rocznicę powołania ORMÓ, Archiwum UMIG w Górze, teczka nr 6324).

¹¹ (Rozmowę przeprowadzono 09.01.2004 – rozmówca chce zachować anonimowość).

GÓROWSKI TENIS DZIESIĘCIOLECIE GÓROWSKIEGO TOWARZYSTWA TENISOWEGO

17 czerwca 1993 roku Janusz Starke, Bogdan Kaiser, Marek Piesiewicz i Bogdan Łeszkiewicz zainicjowali powołanie komitetu założycielskiego Górowskiego Towarzystwa Tenisowego, do którego ponadto weszli: Marek Mazur, Czesław Kaźmierski, Jan Strzykowski, Dariusz Uścilo, Remigiusz Ryndak, Edward Korotecki, Tadeusz Biernacki, Krzysztof Borowik, Marian Prusiewicz, Małgorzata Kordecka, Elwira Ryndak. Wpisano je, decyzją Dyrektora Wydziału Kultury i Sportu Urzędu Wojewódzkiego w Lesznie z dnia 21 czerwca 1993 r. do rejestru stowarzyszeń kultury fizycznej i ich związków.

Prezesem GTT został Janusz Starke, wiceprezesem Bogdan Kaiser a skarbnikiem Bogdan Łeszkiewicz. W rozdziale II jego statutu zapisano: Towarzystwo jest organizacją społeczną i jego celem jest szerokie propagowanie i organizowanie wychowania fizycznego, sportu i rekreacji w odniesieniu do dyscypliny, jaką jest tenis ziemny, oraz stworzenie swym członkom i sympatykom bazy organizacyjnej i prawnej do prowadzenia działalności. Towarzystwo realizuje swoje cele przez:

1. Zrzeszenie osób zainteresowanych kulturą fizyczną, sportem i rekreacją w odniesieniu do dyscypliny, jaką jest tenis ziemny.
2. Szerzenie kultury fizycznej i wykorzystywanie jej poznawczych, wychowawczych, wypoczynkowych i zdrowotnych walorów.
3. Organizowanie i obsługę tenisowych imprez sportowych, pokazów oraz innych form związanych z szeroko pojętą kulturą fizyczną.

Oczywistym jest, że ta dyscyplina sportu nie pojawiła się w Górze za sprawą aktu administracyjnego z dnia 21 czerwca 1993 r. Na terenie obiektów rekreacyjnych przy ulicy Sportowej znajdował się ziemny kort tenisowy, którym zawiadywało Ognisko „Relaks” Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej. W latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i początku siedemdziesiątych grano na nim rekreacyjnie. Zaczynali wtedy swoją przygodę z tenisem – Berechulka, bracia Rosołowscy, męska część rodziny Bernasiów (ojciec i jego dwaj synowie), Marian Prusiewicz, Bogdan Kaiser, Leonard Janiak i inni.

Kiedy pracę w miejscowym Liceum Ogólnokształcącym podjął biolog – Michał Dryś nastąpiło ożywienie działań miłośników tenisa ziemnego. Dnia 25 marca 1974 roku Zarząd Międzyzakładowego Klubu Sportowego „Pogoń” podjął decyzję o utworzeniu sekcji tenisa ziemnego. Na jej czele do roku 1976 stał Michał Dryś, od 1976 – Janusz Starke, a w latach 1978-1992 – Marek Piesiewicz.

Pierwszymi zawodnikami byli: Lidia Czwojda, Bogusław Czyż, Michał Dryś, Mieczysław Gryza, Bolesław Grodecki, Roman Jandula, Jacek Jankowski, Iwona Juszcak, Marek Mazur, Zdzisław Nowacki, Grzegorz Oberg, Marek Piesiewicz, Zbigniew Samokar, Wiesława Sokołowicz, Waldemar Szymkowiak, Zbigniew Żłobiński. Funkcję trenera pełnił Michał Dryś. Niebawem doszli następni: Wiesław Juszcak, Jacek Frączkiewicz, Krzysztof Szmydyński, Kazimierz Rabiej, Andrzej Gwiaździński, Wiesław

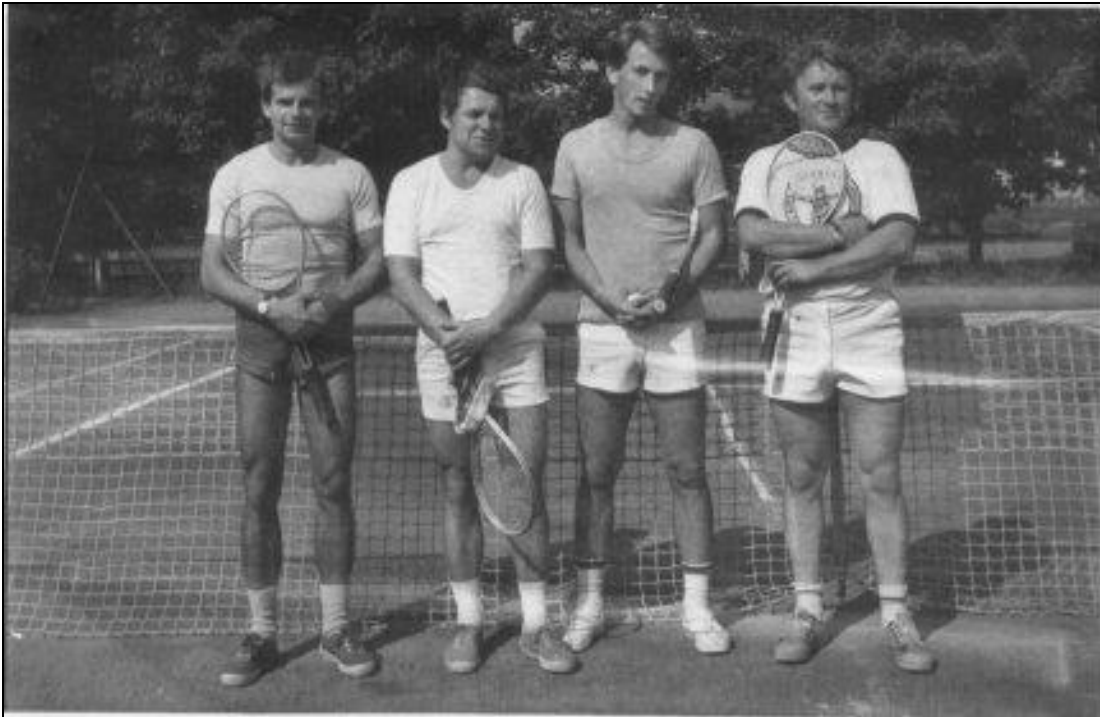
Kołaczyński. Sekcja została zarejestrowana 20 kwietnia 1974 roku w Polskim Związku Tenisowym i zgłoszona do rozgrywek ligi okręgowej. Ponieważ w Górze do dyspozycji zawodników był jeden kort, to wszystkie mecze były rozgrywane na wyjeździe. Grano z „Miedzią” Legnica, „Gwardią” Wrocław, „Spartakusem” Jelenia Góra, „Zagłębiem” Wałbrzych. Rozegrano też dwa mecze ligi juniorów z „Gwardią” Wrocław i „Miedzią” Legnica. Oprócz rozgrywek ligowych górowscy tenisiści brali udział m.in. w III Otwartych Mistrzostwach Legnicy, wojewódzkim turnieju kwalifikacyjnym seniorów we Wrocławiu, Dolnośląskiej Spartakiadzie Młodzieży, Indywidualnych Mistrzostwach Dolnego Śląska juniorów. Sklasyfikowano wtedy dwóch zawodników z „Pogoni” na liście wojewódzkiej.

W roku 1975 z inicjatywy ówczesnego naczelnika Miasta i Gminy Janusza Starke wybudowano w czynie społecznym drugi kort o nawierzchni ceglanej. Otwarcie kortu towarzyszyła duża impreza tenisowa – pokazowy turniej propagujący ten sport. Wydarzenie to zgromadziło znanych zawodników z czołowych wtedy w kraju klubów poznańskich, między innymi Adamczaka i Płotkowiaka z „Olimpii”, Ogarzyńskiego i Nowaka z AZS, Mielczarka z „Warty”, i weterana, legendę tenisa polskiego pana Józefa Piątka. Ten mocny akord był dobrą „przygrywką” do akcji „Gazety Poznańskiej” z 1977 roku, odbywającej się pod hasłem: „Tenis dla wszystkich” To wtedy Wojciech Fibak dotarł na szczyt elity tenisowej świata, wtedy to zaopatrzenie w podstawowy sprzęt jak piłki, rakiety, naciągi nie nastroczało żadnego problemu. Równocześnie rozpoczęto pracę z młodzieżą, z której to najlepsi reprezentowali województwo (wtedy leszczyńskie) w finałach ogólnopolskich spartakiad młodzieży. Zdzisława Jachimczyk z „Pogoni” Góra wyprowadziła tenis górowski w kategorii juniorów na szerokie wody wyczynu. Jednocześnie w roku 1976 w Górze rozpoczęła się rywalizacja o miano najlepszego tenisisty województwa. Pierwszym mistrzem został Kazimierz Rabiej z „Pogoni”, który zresztą swój sukces powtórzył w następnym roku, wygrywając również rozegrane pierwszy raz halowe mistrzostwa w Gostyniu. Panie wystartowały w 1978 roku. Pierwszą mistrzynią została Benedykta Matulewicz z „Pogoni”. W tym okresie po raketę sięgnął Bogdan Łeszkiv.

Rywalizacja w 1979 roku dwóch zawodniczek – mistrzyń województwa – Zdzisławy Jachimczyk i Wiesławy Pawłowskiej, ich udział w turniejach makroregionalnych (gdzie, między innymi w Jeleniej Górze, Zdzisława Jachimczyk uległa w finale gry pojedynczej samej Iwonie Kuczyńskiej, reprezentantce Polski) doprowadza do tego, że Zdzisława zostaje finalistką Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży w Bydgoszczy wśród 24 najlepszych zawodniczek z całej Polski. W tymże roku drużyna tenisowa „Pogoni” uplasowała się w kraju na 39 miejscu wśród 82 sklasyfikowanych a instruktor sekcji Marek Piesiewicz na miejscu 33 wśród sklasyfikowanych 138 trenerów i instruktorów.

W latach osiemdziesiątych pojawiają się nowe nazwiska między innymi: rodzeństwo Elwira i Remigiusz Ryndakowie, Bogusław Chmiel, Jacek Woźniak, Beata Biedulska, Dariusz Uścilo, Tadeusz Biernacki, Krzysztof Borowik, bracia Andrzej i Jerzy Wawrzeńczakowie, Małgorzata Kordecka, Jarosław Brożek, Tadeusz Popowicz, Marek Dutkiewicz. Jako młodzicy i juniorzy i jednocześnie reprezentanci województwa biorą

udział w szeregu turniejów w tym i o randze ogólnopolskiej. Bronią też barw „Pogoni” w meczach w ramach Drużynowych Mistrzostw Polski na szczeblu okręgu.



Rok 1978. Od lewej: Marek Piesiewicz, Bogdan Kaiser, Kazimierz Rabiej – pierwszy mistrz województwa leszczyńskiego, Janusz Starke. Wszyscy z MZKS „Pogoń” Góra.

Fot. Marek Piesiewicz

Potwierdzeniem ich już wysokich umiejętności jest figurowanie na listach klasyfikacyjnych Polskiego Związku Tenisowego. Na listach okręgowych znajdują się: Elwira i Remigiusz Ryndakowie, Beata Biedulska, Małgorzata Kordecka, Bogusław Chmiel, Dariusz Uściło, a na listach ogólnopolskich Remigiusz Ryndak i Beata Biedulska. Do tego dochodzą wysokie pozycje, w tym mistrzów, w rozgrywanych corocznie mistrzostwach województwa.

We wrześniu 1991 roku na kortach „Sportingu” w Lesznie po raz ostatni wystąpiła ekipa górowskiej „Pogoni”. W kategorii młodzików do lat 15 wicemistrzem województwa leszczyńskiego został trzynastoletni Jacek Oberg, a trzecim miejscem podzielili się również trzynastoletni Miłosz Grodecki i jedenastoletni Marek Lesiecki. Wśród senierek tytuł mistrzyni województwa zdobyła Małgorzata Kordecka. W kategorii seniorów Remigiusz Ryndak zajął trzecie miejsce a Marek Piesiewicz czwarte. Natomiast w kategorii „Oldboy” – powyżej 45 lat, Bogdan Kaiser został wicemistrzem województwa. W grze podwójnej tytuł wicemistrzowski zdobyła para Marek Piesiewicz – Marek Mazur, trzecią była para Remigiusz Ryndak – Bogdan Kaiser a czwartą para Tadeusz Biernacki – Dariusz Uściło.

Trudny okres przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, brak środków finansowych, brak na rynku najprostszych rakiet, piłek tenisowych, obuwia sportowego, a do tego oplakany stan techniczny kortów i brak możliwości organizowania imprez

tenisowych, doprowadza do tego, że sekcja praktycznie przestaje istnieć. Ale ludzie, którzy tworzyli tenis w Górze i działali w nim czynnie, nie dają za wygraną. Tak pojawiają się daty 17 i 24 czerwca 1993 roku.

1994

15 kwietnia odbyło się pierwsze walne zgromadzenie Górowskiego Towarzystwa Tenisowego. Zarząd otrzymał absolutorium. W wyborach wyłoniono nowe władze: Janusz Starke – prezes, Bogdan Kaiser – wiceprezes, Bogdan Łeszkiw – skarbnik, Remigiusz Ryndak i Tadeusz Biernacki – członkowie, na czele komisji rewizyjnej stanął Marian Prusiewicz, a sądu koleżeńskiego Janusz Jakubczyk. Organizacją imprez tenisowych i pracą z młodzieżą zajął się Marek Piesiewicz.

8 października 1994 roku, po przeprowadzeniu prac modernizacyjnych, polegających na wymianie ogrodzenia oraz zbudowaniu ściany treningowej, nastąpiło uroczyste otwarcie kortów. Starania Górowskiego Towarzystwa Tenisowego o uruchomienie obiektu, zostały uwieńczone powodzeniem. Przyczynili się do tego sponsorzy tego przedsięwzięcia – Urząd Miasta i Gminy Góra, Cukrownia „Góra Śląska”, „Almar”, Zakłady Przemysłu Drzewnego, OSM Góra oraz firmy p. Z. Bodnara, R. Prawuckiego i M. Nosala.



Rok 1994. Pierwszy turniej zorganizowany przez Górowskie Towarzystwo Tenisowe – mistrzostwa województwa leszczyńskiego w grze podwójnej. Stoją od lewej: Jędrzej Molicki, Bartosz Szabała – obaj z Leszna, Krzysztof Dudek, Krzysztof Domińczak – obaj z Kościana, Bogdan Kaiser, Jan Gwiaździński, Janusz Jakubczyk, Remigiusz Ryndak, Janusz Starke, Jan Góralik, Jacek Oberg, Marek Piesiewicz. W przysiadzie od lewej: Ireneusz Pankiewicz, Marek Lesiecki, Bogusław Chmiel i Krzysztof Lesiecki.

Fot. Marek Piesiewicz

Uroczystość otwarcia zgromadziła liczne grono sympatyków tego pięknego sportu, po wystąpieniach przedstawicieli Urzędu Miasta i Gminy, Wielkopolskiej Fundacji Tenisowej im. prof. Jana Fibaka, Prezesa GTT Janusza Starke, Burmistrz Góry Stanisław Kwiatek dokonał symbolicznego otwarcia kortów. Przeprowadzono dwudniowe mistrzostwa województwa leszczyńskiego w grze podwójnej. W meczu o pierwsze miejsce po ciekawej i emocjonującej, stojącej na wysokim poziomie grze debel górowski w składzie Remigiusz Ryndak i Bogusław Chmiel pokonał reprezentantów Leszna, Bartosza Szabale i Jędrzeja Molickiego w stosunku 6:4 / 6:4. W spotkaniu o trzecie miejsce reprezentanci Kościana, Krzysztofowie Domińczak i Dudek pokonali parę górowską Marka Mazura i Tadeusza Biernackiego. Niedzielny finał deblowy poprzedziła pokazowa gra w wykonaniu mistrza i wicemistrza województwa zielonogórskiego braci Pawła i Igora Kotarskich z GKT „Nafta” Zielona Góra, a także gra mikstowa w miejscowym składzie z udziałem Elwiry Ryndak i Roberta Płońskiego przeciwko Małgorzacie Kordeckiej i Markowi Piesiewiczowi.

Od tego momentu Górowskie Towarzystwo Tenisowe zaczęło zapraszać i zaprasza wszystkich chętnych do uprawiania tenisa niezależnie od płci i wieku. W okresie jesienno-zimowym można ćwiczyć na korcie asfaltowym i ścianie treningowej. Wiosną i latem na kortach ziemnych pod okiem instruktora. Na miejscu można wypożyczyć sprzęt do gry, a kort asfaltowy i ściana treningowa są dostępne bez żadnych ograniczeń i opłat.

Tydzień po mistrzostwach deblowych, rozegrano mistrzostwa miasta w grze pojedynczej. Mistrzem został Bogusław Chmiel, który w finale pokonał Marka Piesiewicza 6:4 / 4:6 / 6:1. Trzecie miejsce zajął Remigiusz Ryndak a czwarte Artur Ptak.

1995

Rozpoczęty w kwietniu sezon trwał do ostatnich dni października. Odremontowany i przejęty przez GTT obiekt tętnił życiem, a ich okrasą były organizowane turnieje, w tym i o randze mistrzostw województwa. Dzięki dwóm strategicznym sponsorom, Cukrowni S.A „Góra Śląska” i spółce z o.o. „Almar” powyższą działalność można było ująć i zamknąć w korbach kalendarza. Dynamiczny i operatywny prezes Janusz Starke wspólnie z wiceprezesem Bogdanem Kaiserem, skarbnikiem Bogdanem Łeszkiwem i organizatorem sportowym Markiem Piesiewiczem starali się, by tego typu działalność na niwie „białego sportu” i rekreacji stała się udziałem jak największej rzeszy mieszkańców miasta Góry. Zatrudniono gospodarza kortów Janusza Ginca. Wzrosła niepomierne liczba członków towarzystwa, którzy wnosząc składki członkowskie mieli możliwość ulg przy korzystaniu z kortów. Dla młodzieży szkolnej zorganizowano sportowe wakacje pod hasłem „Lato z tenisem”. Pomysł „chwycił” i w każdą środę od czerwca do września młodzi do lat 15 mogli w turniejach sprawdzać swoje niemałe już umiejętności. Dyplomy, drobne upominki dla zwycięzców i pokonanych stanowiły miły dodatek w tych imprezach. Cykl zakończyły, rozegrane 7 października, Otwarte Mistrzostwa Miasta do lat 15. Wygrał je Krzysztof Lesiecki, który w finale pokonał Grzegorza Szymczaka 3:6 / 6:2 / 6:4. Trzecie miejsce zajął Paweł Jedliński, a czwarte Ireneusz Bandoch. Po podsumowaniu wszystkich turniejów pierwsze miejsce w rankingu zajął Krzysztof Lesiecki zdobywając 51 punktów.

Pozostałe miejsca zajęli: 2. Marcin Polowczyk – 23 pkt., 3. Katarzyna Błaszczyk – 22 pkt., 4. Marek Biernacki – 21 pkt., 5. Grzegorz Szymczak – 19 pkt., 6. Ireneusz Bandoch – 15 pkt., 7. Grzegorz Dembowski – 15 pkt., 8. Piotr Błach – 10 pkt. Sklasyfikowano ogółem 25 zawodników w kategorii do lat 15.

Nasza młodzież brała również udział w imprezach poza Górą. W Lesznie, na kortach Leszczyńskiego Towarzystwa Tenisowego, w turnieju o puchar Radia „Elka” i gazety „ABC” w kategorii juniorów do lat 18 zwyciężył 15-letni Marek Lesiecki (starszy brat Krzysztofa). W kategorii najmłodszych drugie miejsce zajął Ireneusz Bandoch, a trzecie Grzegorz Szymczak (obaj 12-latkowie). 9-20 września GTT było organizatorem Otwartych Mistrzostw Województwa Leszczyńskiego w grze podwójnej. Tu najlepsza okazała się górowska para Bogusław Chmiel – Remigiusz Ryndak.



Rok 1995. Od lewej: Tadeusz Biernacki, Marek Piesiewicz Michał Basiński – Leszno, Rafał Hryń, Bogdan Łeszkiw, Artur Ptak, Jacek Oberg, Patrycjusz Miłaszewicz, Janusz Ginc – gospodarz kortów, Ireneusz Pankiewicz. Uczestnicy jednego z turniejów.

Fot. Marek Piesiewicz

Seniorzy wspólnie z najlepszymi z najmłodszych mieli swój cykl turniejów zakończony również w dniach 21-22 października Mistrzostwami Miasta. Tytuł ten wywalczył Marek Piesiewicz który w finale pokonał Artura Ptaka 6:1 / 6:0. Trzecie miejsce zajął Remigiusz Ryndak, a czwarte Marek Lesiecki. W klasyfikacji ogólnej ranking najlepszych tenisistów Góry za 1995 przedstawia się następująco: 1. Marek Piesiewicz – 32 pkt., 2. Artur Ptak – 16 pkt., 3. Dariusz Uścilo – 15 pkt., 4. Bogusław Chmiel – 12 pkt., 5. Tadeusz Biernacki – 8 pkt., 6. Remigiusz Ryndak – 7 pkt., 7.

Ireneusz Pankiewicz – 7 pkt, 8. Marek Lesiecki – 7 pkt. Sklasyfikowano ogółem 22 zawodników.

Na chwilę wróćmy do sponsorujących. Cukrownia „Góra Śląska”, „Almar”, apteka „Zdrowie” by wymienić tych najważniejszych, to także nieźle już władający raketami panowie Andrzej Rękosiewicz, Wojciech Majewski (Cukrownia) oraz Aleksander Piotrowski i Marek Turkowiak („Almar”). Oni to regularnie trenując spotkali się ze sobą w towarzyskim pojedynku pod egidą GTT. Wcześniejszy systematyczny trening dał o sobie znać, tak, że losy meczu toczyły się do ostatniej piłki. A wynik? Wynik mógł być tylko jeden. Połknięty bakcyl tego pięknego sportu, gdzie ruch na świeżym powietrzu przeplatany rywalizacją można czynić do późnych lat swego życia, dla kondycji fizycznej, psychicznej, dobrego samopoczucia. Sezon 1995 się zakończył, ale dalej, jedni towarzysko dla przyjemności, inni by szykować formę na następny sezon, co sobotę i niedzielę będą spotykać się na korcie asfaltowym, by mieć całoroczny kontakt ze swoją ulubioną dyscypliną. Nie straszny im ziąb, wiatr i ślota. Oni nie połknęli bakcyła. To on ich połknął.

1996

Działalność Górowskiego Towarzystwa Tenisowego w 1996 roku to przede wszystkim imprezy organizowane przez GTT, wyniki uzyskiwane przez członków i sympatyków towarzystwa, jak również zapraszanych zawodników i zawodniczki spoza Góry. Dzięki uprzejmości sponsorów taka działalność prowadzona była w kategorii młodzików i juniorów młodszych do lat 16 i w kategorii seniorów. Zorganizowano, począwszy od 3 maja a skończywszy 26 sierpnia, 12 turniejów w ramach akcji wakacyjnej „Lato z tenisem”. Wszystkie turnieje zaliczono do końcowego rankingu. Po podliczeniu punktów zdobytych przez młodych zawodników w poszczególnych turniejach ranking w kategorii do lat 16 podobnie, jak i w roku 1995 wygrał Krzysztof Lesiecki zdobywając 73 pkt. Pozostałe miejsca zajęli: 2. Grzegorz Szymczak – 61 pkt., 3. Ireneusz Bandoch – 58 pkt., 4. Marek Lesiecki – 52 pkt., 5. Mariusz Czaja – 34 pkt., 6. Katarzyna Błaszczuk – 27 pkt., 7. Łukasz Tomczyk – 17 pkt., 8. Paweł Jedliński – 15 pkt. Sklasyfikowano ogółem 27 zawodników do lat 16. Podsumowaniem całego sezonu 1996 a jednocześnie jego godnym zwieńczeniem, było zorganizowanie przez GTT i Memoriału Tenisowego imienia tragicznie zmarłego Posła na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej Zbigniewa Gorzelańczyka. Przy wsparciu Głównego Urzędu Kultury Fizycznej i Turystyki w Warszawie, Urzędu Wojewódzkiego w Lesznie, Rady Wojewódzkiej SdRP turniej nabrał rangi ogólnopolskiej. Memoriał rozegrany w dniach 7-8 września na bardzo dobrze przygotowanych kortach zgromadził czołowych zawodników w kategorii juniorów młodszych do lat 16 z „Warty” Poznań, „Posnanii” Poznań, „Nafty” Zielona Góra, Leszna i Górowskiego Towarzystwa Tenisowego. Swoją obecnością turniej zaszczylili między innymi: pani Barbara Gorzelańczyk – wdowa po zmarłym, władze wojewódzkie z wojewodą Zbigniewem Hauptem, Senatorowie i Posłowie, władze miejscowe. Zwycięzcą Memoriału został Karol Masztalerz z „Warty” Poznań, który w finale pokonał Marka Kufla z „Nafty” Zielona Góra 4:6 / 6:4 / 6:4. Trzecie miejsce zajęli Marek Lesiecki z GTT oraz Maciej Dyszkiewicz z „Posnanii” Poznań. Ponadto najlepszym zawodnikiem turnieju pochodzącym z województwa leszczyńskiego został

Marek Lesiecki, najmłodszym był Mariusz Czaja, najambitniejszym Grzegorz Szymczak – wszyscy z GTT. Zwycięzca otrzymał między innymi statuetkę tenisisty ufundowaną przez Klub Parlamentarny SLD. Nagrodę przywiozła wiceprzewodnicząca SdRP pani Izabela Sierakowska.



Rok 1996. I Ogólnopolski do lat 16. Memoriał Tenisowy im. Zbigniewa Gorzelańczyka. Organizatorzy i goście. Od lewej: senator Zbigniew Kulak, poseł Zenon Nowak, poseł Wiesław Szczepański, burmistrz miasta i gminy w Górze Stanisław Kwiatek, wojewoda leszczyński Zbigniew Haupt, przewodniczący SdRP w Lesznie Ryszard Hayn, kierownik turnieju – Marek Piesiewicz, pani Barbara Gorzelańczyk, prezes GTT – Janusz Starke.

Fot. Stanisław Lesiak

Młodzież nasza również brała udział w imprezach poza Górą. W Lesznie, na kortach Leszczyńskiego Towarzystwa Tenisowego w dniach 31 sierpnia – 1 września odbyły się nieoficjalne Mistrzostwa Województwa Leszczyńskiego. Bardzo dobrze spisali się tu nasi reprezentanci. I tak w kategorii do lat 12 zwyciężył Mariusz Czaja, w kategorii do lat 15 w finale Krzysztof Lesiecki pokonał Ireneusza Bandocha, a w kategorii do lat 18 pierwsze miejsce zajął Marek Lesiecki, trzecie Michał Daniluk, a czwarte Piotr Kowalski. Natomiast wśród dziewcząt i senierek najlepszą została Kasia Błaszczyk. Miesiąc później w Lesznie, w otwartym turnieju do lat 18 zwyciężył Marek Lesiecki, a osłabiony z powodu choroby Mariusz Czaja do lat 12 był trzeci. Oceniając kategorię młodzieżową pod kątem imprez organizowanych przez GTT, trzeba odnotować znaczny wzrost ich liczby w stosunku do roku 1995, jak też wzrost ich rangi – z 9 turniejów w 1995 r. do 13 w 1996 – w tym jeden o charakterze ogólnopolskim. Kładąc akcent na tenis dla młodzieży, ucierpiała niechęć na tym brać seniorska. W jedynym turnieju w grze pojedynczej rozegranym w dniach 3-5 Maja z okazji „Święta 3 Maja” zwyciężył Marek Piesiewicz, w finale pokonując Jacka Oberga 6:0 / 6:3. Trzecie miejsce zajął Patrycjusz Miłaszewicz a czwarte Marek Błaszczyk z Wrocławia. Natomiast w

turnieju gry podwójnej rozegranym w dniach 22-23 czerwca z okazji „Dni Góry” dwoma pierwszymi miejscami podzieliły się pary z „Zagłębia” Lubin i „Asa” Głogów, trzecie miejsce zajęła para Marek Piesiewicz – Marek Lesiecki, a czwarte para Patrycjusz Miłaszewicz – Rafał Lewandowski.



Rok 1996. I Ogólnopolski do lat 16. Memoriał Tenisowy im. Zbigniewa Gorzelańczyka. Reprezentanci Górowskiego Towarzystwa Tenisowego. Od lewej: Mariusz Czaja, Wojciech Tomczyk, Piotr Błach, Ireneusz Bandoch, Grzegorz Szymczak, Krzysztof Lesiecki. Brak na zdjęciu Marka Lesieckiego i Pawła Jedlińskiego.
Fot. Stanisław Lesiak

Tradycyjny mecz deblowy przedstawicieli dwóch strategicznych sponsorów GTT, a więc Cukrowni „Góra Śląska” i przedsiębiorstwa „Almar” po zaciętej walce zakończył się sprawiedliwie, to znaczy zapadające ciemności nie pozwoliły rozegrać go do końca. Księgowość w GTT zaczęła prowadzić pani Wiesława Kordek a nowym gospodarzem kortów został Stanisław Czapla.

cdn.

Marek Piesiewicz

W drodze do czytelnika

Agnieszka Polak*

MÓWCA

Czas jest dla mnie tak samo ważny jak dla Was. Trwam, a jednak się zmieniam. Coś, co jest w każdym z Was, nie pozwala mi na zawsze zostać taką, jaką jestem teraz. Czas – bezlitosny, ale i łaskawy – jak kat – który w ostatnim momencie wstrzymuje ostrze, zmienia mnie. Możecie tego nie dostrzegać, to zmiana w czasie i przestrzeni. Mógłby biec prędzej lub nie biec wcale. Ale nie. Przesuwa powoli ziarenka piasku. Wleczę się. Ciągnie bez końca.

P O W O L I !!!

Obecny upływ czasu nie zadowala mnie zupełnie. Nie zauważam, kiedy mijają, a jednak upływa! Ale dawniej... Był tak rozkosznie nieruchomy... Był. Trwał. Zastygał jak kropelki żywicy. Teraz pędzi tak jak Wy. Wciąż przed siebie, w amoku. Jest Was tak wielu, że przestałam dostrzegać pojedyncze egzemplarze, ciągle jednak czuję Wasz pęd. Wiem, że tutaj jesteście!

Kiedyś był tylko MÓWCA.

Początkowo leżał nieprzytomny na piasku. Trwał tam tak cicho i spokojnie, że zupełnie o nim zapomniałam. Nie mogę przecież ciągle o wszystkim pamiętać! Było to tak dawno, że nawet jeszcze nie był MÓWCA. Stał się nim później. Znacznie później. Chyba nawet po tym, kiedy się obudził. Pamiętam, że było ciemno (zresztą wtedy zawsze było ciemno) i że poczułam się dziwnie. Poruszył się niespokojnie, otworzył oczy i usiadł. Siedział tak – aż zaciekawiło mnie to siedzenie. Trzeba przyznać, że umiał siedzieć!

Długo trwało, zanim się poruszył. W końcu wyprostował się, próbował wstać. Zamachał rękami i upadł, ale wstawał znowu i znowu, i znowu. Kiedy stanął wyprostowany – pojawiło się światło! Przymrużył oczy oślepiiony blaskiem. Zrozumiał, że nie może patrzeć prosto w słońce. Szybko zrozumiał. To chyba wtedy powstała pierwsza sekunda?

Następne nie były już takie idealne, ale miały w sobie coś specjalnego! Były – TAKIE SAME! Wszystkie! Każda z osobna! Jak ta po niej! I ta przed nią!

Zacisnął oczy, a później rozejrzał się wokół siebie i zabelkotał. Pierwszy dźwięk był odkryciem. Nie znaczył nic! Nic! Był dźwiękiem bez znaczenia dopóki go nie powtórzył po raz drugi:

- Światło! – powiedział już głośniejszym głosem. – Światło!... Światło!... Światło!...

Teraz już krzyczał, a z każdym krzykiem słońce stawało się coraz jaskrawsze, coraz gorętsze.

Zamilkł, kiedy nie mógł już złapać oddechu, a ja zrozumiałam, jakim błogosławieństwem dźwięku jest cisza. Doceniłam to, że zamilkł, tak jak doceniłam odkrycie, że on umie mówić!

Świadoma wartości jego geniuszu pozwoliłam mu BYĆ.

Był ze mną, a im dłużej był, tym wspanialszą istotą się czułam! Dbał o mnie! Od czasu do czasu coś mówił, a mimo braku porozumienia widziałam rezultaty jego słów. Zmieniłam się! Nie byłam już taka jak niegdyś – szara i ponura samotnica. Teraz mieniłam się różnymi odcieniami zieleni, błękitu i brązu! Teraz stałam się sobą!!!

Nie możecie mnie pamiętać. Dzisiaj już tak nie wyglądam, ale dzięki za słowa otuchy. Któż z nas nie lubi komplementów... Nawet tych kłamliwych.

*Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim, nauczycielka języka polskiego w Gimnazjum w Jemielnie.

Z czasem zrozumiałam, że pragnie mnie zmienić. Zrozumiałam też, że robi to dla siebie – nie dla mnie. Chyba nawet o mnie nie pomyślał!

Urażona duma nie pozwoliła mi zwrócić na siebie Jego uwagi, a później chyba przyzwyczaiłam się do tego. Teraz jest już trochę za późno, by zawołać: „Hej, ja tu jestem! Uwważaj, co robisz!”

Co mówicie? Że to tylko babskie fochy? Och, może i tak, ale wtedy jeszcze nie byłam kobietą! Byłam sobą! Dopiero znacznie później nadano mi to jednoznacznie brzmiące miano – MATKA. Później! Więc nie mówcie mi że to kobieca kokieteria, bo tak nie jest.

Stałam się matką wtedy, gdy przywołał tu pierwsze żywe istoty, a one zaczęły się rozmnażać. Trwałam w zachwycie nad każdym jajkiem, każdym młodym, każdym nowym życiem!... Co? No cóż, nie przesadzajmy! Dzisiaj jest to tak powszechne zjawisko, że chyba nie muszę się nim zachwycać? Śmiem twierdzić nawet, że jest Was za dużo, ale to już Wasz problem!

Zresztą, Wy to jego ostatnie dzieło. Poćwiczył sobie na innych stworzeniach. Poprzyglądał się. Coś tam sobie chyba nawet wymyślał, bo mrucał ciągle pod nosem. W końcu któregoś dnia pojawił się samczyk. Taki był śliczniutki! Miłutki stworek z gładką skórą i czarnymi oczyma. Prawie wcale nie był owłosiony. W końcu musiał się czymś wyróżniać! Na szczęście było ciepło.

MÓWCA obserwował nowe stworzenie, a po jakimś czasie pojawiła się samiczka. Też ładniutka, ale jednak to już nie było to! W końcu ten pierwszy był wzorem!

Samiczka miała dla odróżnienia więcej włosów i mniej rozumu. ... Co? Wiem co mówię! Ciągle gdzieś wlaźła i wzywała to drugie na ratunek! Zresztą, to było nawet śmieszne. Gorzej było, gdy oboje zaczęli rozrabiać! MÓWCA próbował ich uczyć, ale nie byli zbyt pojętni.

W końcu chyba rozgniewali go czymś, ponieważ odszedł. Opuścił mnie i zostawił cały ten balagan! Na początku nawet nie miałam czasu na żmartwienia, tyle było roboty z tymi nowymi stworzeniami. A to pozrywali najpiękniejsze liście w samym sercu ogrodu, a to zwierzęta przestraszyli. W końcu nawet któreś złapali i zjedli! Barbarzyńcy! Potwory!

Dopiero – kiedy zakończyłam porządki po ich ostatniej zabawie – tym razem z ogniem, zauważyłam że ON odszedł! Nie potrafiłam jednak odnaleźć najmniejszego nawet śladu stóp. Tak, jakby nigdy go tu nie było!

Stałam się zgorzkniała, smutna i zła. Zemściłam się za odejście MÓWCY na tych, którzy pozostali. Z trudem zdobywali pożywienie, ze strachem witali każde zwierzę, bali się ciemności. Pokazałam im co to ból, ale jakoś sobie poradzili. Jesteście tacy jak oni! Wszystko idzie źle, ale Wam to jakoś nie szkodzi. Jeszcze nie! Zobaczymy, jak długo?! Wszystko przecież kiedyś ma swój kres. Zobaczymy, co zrobicie, gdy nadejdzie kres czasu, jaki Wam przeznaczono! To nie ja, to czas jest Waszym wrogiem.

Czego chcę od czasu? Niech szybko upłynie, skończy się lub niech trwa wiecznie – to mało istotne. Nie chcę być go świadoma! Martwa, a jednak żywa, niezmienna a jednak nie wieczna – pragnę spokoju. Niechże ten mściwy egoista powróci i obdarzy mnie zapomnieniem! W końcu miał taką moc! Dość cierpiałam!

W BIBLIOTECE

- Oddałaś książki do biblioteki? – zapytała mama z uporem po raz trzeci w tym tygodniu. Oddałaś książki? Bo znowu zapłacisz karę!

- Oddam jutro, przysięgam. – bo co mówić, jeśli w kółko trzeba powtarzać to samo. Przecież nic się nie stanie, jeżeli oddam je jutro – kara jest niewysoka – najwyżej kilka złotych, a jakie to szczęście iść tam we czwartek. Wtedy jest tam i ON!

Czwartkowe popołudnia to idealny moment tygodnia. Zdenerwowana wybiegam z domu przed trzecią, myśląc, że spóźnię się i nie uda mi się go zobaczyć. W pośpiechu naciągam na ramiona wełnianą chustkę i podbiegam kilka kroków, ale tylko kilka, żeby nie zadyszeć się niepotrzebnie.

W pobliżu starego budynku zwalniam krok. Kiedyś to było piękne miejsce, ale po pożarze przed dwudziestu laty zdecydowano, że nie warto inwestować w ruinę. Szare, kamienne mury prawie całkowicie oplata bluszcz zasadzony przez żonę ostatniego kierownika szkoły. Nie miała dzieci, nigdy ich zresztą nie lubiła, ale podobno uwielbiała rośliny. Kiedyś zajrzeliśmy przez kamienny mur, by zobaczyć zdziczałe krzaki róż, daleko, pod oknem szkoły. Jeszcze wiele lat po tym, gdy ostatni raz je przycięto, wyglądały wspaniale!

Przyspieszam znowu. Zbliża się trzecia, a do biblioteki jeszcze kawałek drogi. Wiem, że mam czas, on przyjdzie o wpół do czwartej, ale wolę być pierwsza. Spokojnie wymienię kilka słów z portierem, usiądę w czytelni, wezmę do ręki kolorowy magazyn. Panna Janina postawi przede mną filiżankę z herbatką i odejdzie do swoich zajęć. Nigdy się nie odzywa, ale bardzo ją lubię. Podejrzewam, że wie coś, chociaż nigdy się nie zdradziła. Wie, ale nie mówi nic. Cichutko szepcze:

- Dzień dobry Joasiu – i odpływa do swoich zajęć z szelestem szarej spódniczki.

Wróci po godzinie, gdy moja herbatka wystygnie całkowicie, uśmiechnie się miło i poda mi książkę, książkę, którą on zwrócił jej przed chwilą.

- To powinno cię zainteresować Joasiu – stwierdzi – to mądra powieść, przynajmniej tak mi powiedziano. Warto, byś ją przeczytała. A może i pani Rzeczyckiej się spodoba?!

- Mam nadzieję, że tym razem mama będzie zadowolona – odpowiadam i uśmiecham się, chociaż obie wiemy, że mama nigdy nie jest zadowolona z moich wyborów. Przynajmniej już nie dzwoni do panny Janiny z pretensjami, że wcisnęła mi jakąś tandetną powieść.

Zresztą ja sama jestem temu winna. Interesuje mnie tylko to, co zwrócił przed chwilą pannie Janinie. Nigdy nie patrzę na tytuły książek, jakie wybieram, jasne jest więc, że do domu przynoszę najróżniejsze lektury. Oby tylko nie „Rocznik statystyczny” jak miesiąc temu! Nieważne! On zaraz tu będzie! Zawsze jest bardzo punktualny!

Siadam nad zwyczajową herbatką, a serce drży mi jak skrzydła motyla. Już słyszę na schodach pewne kroki, którym tylko co jakiś czas wtóruje cichutki stukot laski. Kroki zwalniam w pobliżu czytelni, ale za moment znowu brzmią głośno i energicznie. Jest! Wchodzi i od progu rzuca niegłośno: – Dzień dobry.

Spokojnym, opanowanym głosem rozmawia z panną Janiną o przeczytanych książkach. Rozsądnie decyduje, że dzisiaj weźmie tylko jedną nową, bo mamie coraz trudniej już czytać, na tydzień starczy. Milknie.

To właśnie jest jego problem. Wszyscy wiedzą, że matka jego traci wzrok, że niedługo będzie już całkowicie ślepa. Co się wtedy z nimi dwojgiem stanie? On nie widzi od lat, od czasu wypadku, a teraz i matka.

- Pewnie do przytułku pójdą – stwierdza czasami bezlitośnie mama, a moje serce zamiera.
– Jak sobie poradzą te dwie kaleki bez pomocy i opieki obcych?

Widzę jego jasną spokojną twarz. Włosy ma krótko przycięte. Zbyt krótko, przez co ujawnia się kanciasty zarys twarzy i brzydka blizna na skroni. Z zakłopotaniem stwierdzam, że zwraca głowę w moim kierunku, jak gdyby wiedział, że tu jestem. Na szczęście nic nie mówi. Bo i co w końcu mógłby powiedzieć?! Bezpieczna, pewna tego, że mnie nie odkryje, badam uważnie wzrokiem jego twarz. Długi, prosty nos, szerokie usta, jasne włosy i brwi, oczy... Oczy kryją się teraz za ciemnymi okularami, ale dokładnie pamiętam wesołe błyski szarych źrenic. Twarz młoda, ciągle jeszcze młoda, chociaż minęło kilka lat, od kiedy...

On nagle zwraca się w stronę bibliotekarki i szeptem prosi o wydłużenie terminu oddania książki. Mama nie będzie mogła zbyt wiele czytać, lekarz zabronił, może to więc potrwać dłużej. A jemu tak miło posłuchać czytania, chociażby nawet takich powieściulek jak te.

Gdy wyszedł, panna Janina zwróciła swą zmęczoną twarz ku mnie i powiedziała cichutko:
- Joasiu, może kiedyś odezwiesz się do pana Krzysztofa, przecież... – przerywa na chwilę – zdaje mi się, że go lubisz. Może to byłoby jakieś wyjście w tak trudnej dla niego i jego matki sytuacji?

- Co też pani mówi – rzucam gwałtownie i z oburzeniem – przecież to kaleka. Nie widzi, wymaga opieki. Matka jego też wkrótce będzie jej potrzebować! To nieważne, że kiedyś, przez krótki czas, znaliśmy się. Jego ojciec był tylko ogrodnikiem! Zresztą, ja skończyłam studia! Pokrewieństwo intelektualne i społeczne to podstawa. A gdzie bezpieczeństwo materialne?! – wyrzucam z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego, czując jak rumieniec wypływa mi na twarz. – Nigdy nie mogłabym związać się z panem Krzysztofem. Nigdy! Mama nigdy nie zgodziłaby się na to! Zawsze mi powtarzała, że kobieta powinna starannie wybrać sobie męża! To poważna sprawa – rzucam jeszcze i szybkim krokiem, nie żegnając się, wychodzę. Byle szybciej, byle dalej. Żeby tylko nikt nie zobaczył łez w moich oczach. Żeby nikt nie odgadł...

- Joanno! – slychać nagle głos mamy – podaj mi proszę okulary. Chciałabym coś poczytać. Cokolwiek! Może to być nawet coś, co dzisiaj przyniosłaś do czytania – stwierdza, a ja wiem, że znowu nie podobają jej się książki, które wybrałam z myślą o niej. – Ruszże się, dziewczyno, przecież po południu musisz wracać do biblioteki na dyżur! Marna musi być z ciebie bibliotekarka, mimo że pracujesz tam już dwadzieścia lat! I co ci to dało! Nie lepiej było za młodu iść za męża? Lepszy zły mąż, niż żaden! Popatrz, jakie są te młode dziewczęta, każda potrafi znaleźć sobie kogoś. A ty?!... Nic, żadnych uczuć wyższych! Teraz ludzie kierują się sercem, nie rozumem! Po co ci były te studia? Powinnaś była postąpić tak samo. Powinnaś mnie była posłuchać!

- Posłuchałam – odpowiadam cicho i wychodzę z domu...